Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Sad kaczek na jeziorze Waszyngtona w Ameryce Północnej.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 32 (772) 10 LISTOPADA 1934 R.



Puszcza Rudnicka w mgle. Fot. W. Korsak.

O NOMENKLATURĘ JELENI.

„Łowiec Polski" w Nrze 27/1934 i dwóch poprzednich drukował bardzo interesujący odczyt inż. Tadeusza Śliwińskiego, podający jego zapatrywania na rozmaite sposoby polowań na jelenie — ze specjalnem opracowaniem i upodobaniem polowania na rykowisku. Chcę być lojalny względem postawienia już raz sprawy przez Szanowną Redakcję „Ł. P.", że spór o racjonalność tego rodzaju polowania został wyczerpany — i dlatego rzuconej znowu rękawicy tu nie podnoszę, dopóki sama objektywność ze strony Sz. Redakcji do tego mnie nie upoważni.

Tutaj chcę tylko dotknąć tematu zawartego w nagłówku, który mi się przy czytaniu artykułu inż. Śliwińskiego sam narzucił.

Pan inż. Śliwiński na str. 502 „Ł. P."/934 przytacza prof. Sallaca, który rozróżnia dwa gatunki jeleni, a mianowicie nizinnego, zwanego inaczej szlachetnym, oraz jelenia górskiego, zwanego maralem — i dalej mówi, że jelenie szlachetne mają w koronie poroża symetryczne, podczas gdy korony marali są asymetryczne. Odtąd już w swym odczycie p. Śliwiński trzyma się tego podziału. Powyższem, tak ujętem określeniem p. Ś. uznał a contrario jelenie karpackie za mniej, lub nawet zupełnie nieszlachetne!

Otóż zapytuję, czy dzieła przyrody klasyfikuje się wogóle na podstawie geometrycznej ich regularności, czy też na podstawie ich pełniejszego rozwoju? Przyroda, przeciwnie, zdaje się nie lubić monotonnej symetrji — i piękna jej dopatrujemy się najczęściej w jej dzikiej asymetryczności. Tak więc jelenie „szlachetne", w przeciwstawieniu do innych, muszą mieć jeszcze inne cechy swej szlachetności — chyba nie słabszy wzrost i wogóle wymiary, jakie odróżniają jelenia polskich kniej równinowych od karpackiego; inaczej nie staralibyśmy się o ratowanie typu wschodnich Karpat, lecz raczej jak najszlachetniejszego zachodniego. A jaki to typ, opowiem.

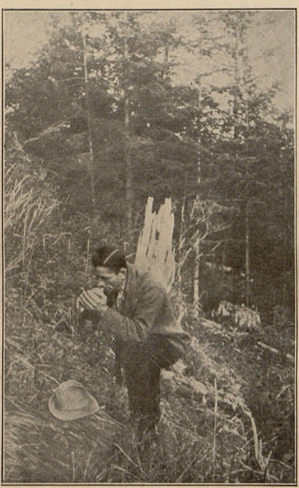
Byłem swego czasu zaproszony na polowanie ministerjalne z naganką, na jelenie, w okolicy Wiednia. W pewnym miocie wysypał się na mnie cały rudel (chmara)), a w tem kilka byków — i przedefilował do sąsiedniego miotu — bez mego strzału. Po miocie otrzymałem od kierownika polowania gorzką wymówkę, jak mogłem tak nie uważać i przepuścić tak piękne jelenie! Dałem odpowiedź, że nie wiedziałem, że to były jelenie, bo u nas w Karpatach jeleń całkiem inaczej wygląda; zwierzynę tę obserwowałem z bronią gotową, ale wziąłem ją za jakiś gatunek egzotów z sąsiedniego zwierzyńca cesarskiego. Otóż właśnie to były, jakby profesor Sallac oznaczył, jelenie szlachetne (Edel-hirsche), — a w gruncie rzeczy były to aż litość swą degeneracją budzące jelenie austrjackie. Czyżby w faunie dzisiejszej, im dalej posunięty degenerat w swym niedorozwoju, tem pewniej miałby zasługiwać na nazwę gatunku szlachetnego, byle mu się układały symetrycznie końcówki w rożkach?! — Nazwą „szlachetny" nie podniesie się rzeczywistej jakości; dlatego proponuję utrzymanie nomenklatury, odpowiadającej raczej pochodzeniu jelenia, a więc u nas w Polsce: jeleń nizinny i jeleń karpacki.

W chwili gdy piszę powyższe, rykowiskowa „selekcja" jeleni jest w pełnym toku; w samych kniejach tutejszej metropolji padło dotąd ponad dziesięć byków.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

TOPORNICA.

Mam dużo sentymentu dla pewnej miejscowości Zamoyszczyzny, zwanej Topornicą. Może tutaj krzyżowały się szlaki moich wędrówek z wieczności w wieczność, może ongi w praegzystencji byłem jej mieszkańcem? Tymczasem nie posiadam wyraźnych objawień w tym względzie, jednak, pozostawiając na uboczu wszelką metafizykę, twierdzę, że każdy, zwłaszcza poetyzujący myśliwy, pokochałby ten cichy zakątek, leżący przy gościńcu na Kosobudy i dalej w świat szeroki...



Wabienie jelenia przez strażnika Bobiaka. Kosmacz—Karpaty. Fot. M. G.

Odkąd została zbudowana szosa, wymijająca folwark i biegnąca przez Lipsko do Krasnobrodu, ludziska nader oględnie korzystają z odwiecznego traktu. Piasczysty ci on jest na wzgórkach, kapitalnie podmokły w dołkach, a w dwóch miejscach posiada mostki tak obłudne, że przebyć je można albo po pijanemu, albo w napadzie szaleństwa. Niedawno dokonał tej sztuki dziarski i zdrowy na umyśle organista z Kosobud, powracający o świcie z Sitańca po sławnym odpuście na Bartłomieja. Przejechał, natychmiast wytrzeźwiał i długo medytował, drapiąc się w głowę, jakim cudem mogło się coś podobnego przytrafić. Jego piękny filcowy kapelusz, unoszony wartkim prądem rzeczki, która również nosi powszechnie miano Topornicy, zamajaczył jeszcze raz na zakręcie, kiwnął mu kilkakrotnie „głową" na pożegnanie i przepadł bez wieści. Ludzie trzeźwo kalkulujący oraz tacy, co nie sporządzili jeszcze testamentu, wolą ryzykować w bród przez rzeczułkę... Można się tu conajwyżej utopić — bez hałasu i połamania nóg.

Wspomniany gościniec ginie wreszcie wśród rozległych lasów ordynackich, okalających bezkresną nizinę dawnych poręb, trzęsawisk i nieużytków, zrzadka pokrytych skarłowaciałą — jak wszystko na świecie — sosenką, a gdzieniegdzie świecących zdala wydmami szczerku, lub siniejących od wrzosów. Obszary mokradeł spoglądają ku niebu setką oczu — jeziorek i stawów, nanizanych niby drogocenne opale na srebrzyste nitki strumyków, niosących do Wieprza, do matki Wisły i nawet hen, ku polskiemu morzu, wstydliwe, maluczkie opowieści o niewysłowionym uroku pewnej, nikomu nieznanej Topornicy.

Dużo tu jest kaczek oraz wszelakiego ptactwa błotnego i wodnego, ale zasadniczo rej wodzą pstre i szare, o pomarszczonych nóżkach, kuliki, małe i większe, ruchliwe i towarzyskie. Wspólnie z czajkami, wiernie nadzorują one łąk i miejsc lęgowych wspólnie z czajkami ciągną w chłodne i mgliste poranki marcowe ku szarym połaciom rodzimej ziemi, zwiastując melancholijnym poświstem pierwsze podmuchy odległej wiosny.

Folwark wraz ze starym dworzyszczem roztropnie odsadził się wbok i odgrodził od traktu zapuszczonym sadem. Obora dziesiątkiem fundamentowych pali najspokojniej wkroczyła w stawek zarybkowy, żywo przypominając archaiczne budowle nawodne. Półkole budynków folwarcznych, mocno naszczerbionych z czasu wojny, tworzyło gumno ze studnią, skrzypiącym żórawiem i topolowem krytem pośrodku. Szereg okopconych, murowanych słupów, spowitych w powoje, znaczył stoisko dawnej stodoły. Bocianie gnazdo na strzaskanym od pioruna sokorze, ruiny cieplarni wśród warzywnego ogrodu, długi sznur t. zw. ósmaków dla służby, wreszcie samotna rybakówka na wydmie — oto wszystko. I pewne uroczysko na wzgórku, zasiane odłamkami glinianych łzawnic, bielejące od nieprzebranej masy spróchniałych kości — wśród zadumy kilku sosen, pozostawionych dla swej ułomności na wieczystą i tęskną pamiątkę rzeczy byłych...

A lasy? Lasy, co zwartym gąszczem czarnej olszyny obsiadły drzemiące od prawieków bagna, to znów wysokopiennemi chojakami wbiegły na zbocza lessowych glin, nawianych tu Bóg wie skąd i kiedy — lub rozpełzły się wśród jarów i wertepów bractwem wszelakich krzewów i pnączy. Zdawiendawna błąkają się tu gadki o zbójach i koniokradach, i kłusownikach z dziada i pradziada. Gdzieś na tajnym przesmyku, w jasną zimową nockę, albo i w srogą zadymkę, dosiaduje taki Tetera lub Kosmala w kożuchu i baszłyku na łbie, trzymając nogi w worku sieczki i ściskając w zgrabiałej od mrozu dłoni stary, niezawodny gruchot, o niewiarygodnym kalibrze. Dojedzie ci on niechybnie ułamkiem (sic!) bronowego zęba, lub przygarścią siekańców kozę, maciorę i samego „nielenia". Wwali ciepłe jeszcze i drgające cielsko na cierpliwy, pałąkowaty grzbiet swój; albo w samą porę, zanim się przetrze ospały dzień zimowy — podjedzie śmigłemi saneczkami jego kum i pobratymiec. I niechże im się napatoczy służbista gajowy — znajdą go późną wiosną w przepadzistej debrze z rozwaloną czaszką — i niewiadomo kto, za co i kiedy...

Lecz bór szybko odwraca ponure karty swych dziejów i tylko w głębokim szumie niemych pozornie świadków - sosen mógłby wtajemniczony dosłyszeć jakiś huczący ton grozy.

*

Szybko upływa czas myśliwemu, gdy zgubi się on wraz ze swoim wiernym pieskiem w obszarach pól i łąk. Bez śladu wsiąkły i rozwiały się mgły poranne, dawno już słońce wypiło obfite rosy i jeno wiatr ściela się leniwie w zwartych połaciach ciemnozielo-

nych trzcin. Posuwałem się w górę krętego biegu rzeczki Topornicy. Pełno tu było rozlewisk, rozwidleń, dopływów i dziur zdradzieckich, w których coraz to odbywałem przymusową kąpiel, z trudem ratując broń i naboje od przemoknięcia. Mój Bąk hałaśliwie przecierał nadrzeczne szuwary, znikał mi z oczu, sapał, prychał i nawet głupio naszczekiwał, jeszcze nieoswojony z tajemniczym problematem nurkowania tropionych przezeń kaczek.

W najmniej stosownym momencie, kiedy, tracąc cenną równowagę, pogrążyłem jedną nogę w bezdenną, zda się, grzęzawę — rozległo się kwakanie i oto krzyżówka z łopotem skrzydeł wzlatuje świecą tuż nad moją strapioną głową. Pośpieszny, nieco kulawy strzał, takiż drugi i po chwili z gorzką satysfakcją napawam się miłym obrazkiem: mieszkanka rzeczki Topornicy wolno rozpływa się w rozsłonecznionej dali, ciągnąc za sobą moje zbójeckie marzenia. Wkońcu ustrzeliłem dwie cyranki i właśnie zamierzałem nieco odpocząć, gdy Bąk nagle porzucił niewdzięczne koryto rzeczki, z mądrą miną zatoczył duży łuk i stanął, jak wryty.

Przed sobą miałem dawno już porzucone pastwisko, unizane kępami i wyboinami; gdzieniegdzie widniały ciemne rabaty trzcin i krzaków wikliny, miejscami czerniały smugi szczerego błota, porosłe z brzegów ostrą i gęstą trawą. Zbliżyłem się do psa i spojrzałem w kierunku jego nosa. W jamce pod kępą siedział dubelt. Jego wypukłe, czarne oczki wlepione były w wyżła, niby oczarowane — ledwie-ledwie drgał jego spłaszczony tułów. Naraz skoczył, furknął i poleciał nisko nad łąką, szybko oddalając swój bronzowy kształt. Strzeliłem i w tejże chwili poderwał się z boku drugi. I temu posłałem nobój śrutu, ale dubelt pod wrażeniem detonacji wzbił się ponad stogi siana, przekreślił skoszoną łączkę, zamajaczył ciemnym punkcikiem na błękitnem tle nieba i rozpłynął się w nicość. Natomiast pierwszy został zaaportowany przez Bąka z całą akuratnością i precyzją.

Jeszcze dwukrotnie musiałem pocieszać się zdrową maksymą, że dublety do dubeltów bynajmniej nie są trudne, tylko trzeba umieć je robić. Pierzchło zmęczenie i pamięć trudów — brnąłem dalej w ów świat czarodziejski, jak w bajce, nie oglądając się poza siebie. Wszystko przecież ma swój koniec — skończyły się i dubelty. W skośnych już promieniach słońca przysiadłem na kępie, nogi miałem najwyraźniej z ołowiu, zaś w głowie szumiało, niby w garnku z ukropem. Nieznana mi bliżej panorama łąk, krzaków, dalekich wiosek rozciągała się przed oczyma. Topornica, Wieprzec, Zarzecze... dziesięć kilometrów od domu. Na dalekich wzgórzach dogasały już krwawe smugi wieczornej zorzy, poszarzały pola, pociemniały wianki lasów i liljowy zmierzch spłynął wraz z ciszą na doliny. Gnuśne opary rozsnuły się nad mokradłami, popełzły wzdłuż rzeczki i rowów, wionęły wilgotnym chłodem, do cna zawlekły horyzont.

Górą przeciągnął szybko jakiś zapóźniony ptak, kiedyniekiedy zakwiliła czajka, a sowa — niby złowieszczy duch nocy — bezgłośnie przewinęła się w mroku. Samotność i pustka zaczęły mi ciążyć — trzeba było wracać do ludzi i ich gwaru. W tej myśli skierowałem się ku pewnej kępie rozłożystych drzew, otaczających dziurawą strzechę. Stał tu, jak się okazało, napcły rozwalony, opuszczony młyn. Swoje przyrodzone funkcje pełnił on za czasów wojen napoleońskich, a może jeszcze w epoce dobrotliwego króla Stasia.

Księżycowy poemat — nie młyn. Zmurszałe i stoczone przez robactwo bierwiona jego ścian poszły w zakosy, pokrzywiły się węgły pod obuchem burz i wiatrów, spoczął na ziemi omszały i przegniły okap jego dachu, ze sterczącym tu i ówdzie, nagim wiązarem. Przypomniały mi się słowa rosyjskiego poety:

„Czapkę na brwi swe nasunął
I ucichł na wiek..."

Wiodąca doń drożyna zarosła pokrzywą i burzanami. Dawno spoczęli w ziemi ci, którzy chadzali tędy, przebrzmiała wrzawa ich głosów — bez śladu, bez echa.

Został jego nieodparty czar i smutek przemijania. Płaczące wierzby oplotły swemi nawisłemi konarami dogorywającego starca i wiodły na daleką drogę wieczności, szemrząc i wzdychając. Dzikie gołębie miały tu swoje gniazda, małe puszczyki drzemały na gałęziach, kiwając się, niby zagadkowe bóstwa — oślepłe i bezsilne.

Poprzez zbutwiałe bale zastawy z chlipaniem przelewał się ospały nurt rzeczki. W czarnym i głuchym mule, w wężowych splątach grzybieni, w oślizgłych porostach żabiego skrzeku uwięzły jej porywy i nadzieje, zmętniała i zgasła słoneczna radość jej spojrzenia. Żaliła się oto bezradnie, szeptała coś w sitowiach.

Obok, na niewielkim majdanie, wrastał w ziemię potężny odłam piaskowca — wyłamany ząb mądrości starego młyna. Usiadłem na nim i oddałem się kontemplacji. Bąk z westchnieniem ulgi usadowił się u mych stóp i, utworzywszy misterny kłębek, jął sobie na dobre pochrapywać.



Byk 14-tak, ubity przez Jana ord. Taczanowskiego w Taczanowie. 1030 punkt. według metody Dyka.

W pewnej chwili z gniewnym pomrukiem wyłonił się z mgły mały, połatany i nader ruchliwy piesek. Grzebiąc tylnemi łapami z dławiącej go alteracji, zaczął mnie oszczekiwać zawodzącym, iście kundelkowatym głosem. Bąk odwrócił ku niemu swój rozespany łeb, nastroszył uszy i warknął z ostrzegawczą perswazją. Wnet przecież rozległy się stąpania i ukazała się przygarbiona sylwetka właściciela jurnego pieska. Był to, jak się okazało, mój dobry znajomy — niejaki Wiatrzyk — trochę rybak, trochę polowy, głównie zaś popychadło folwarczne. Zwykła kolej rzeczy w służbie dworskiej.

Przed dwoma laty spotkałem go w Zamościu. Krążył dokoła kolegjaty w wielkiej udręce i zmartwieniu. Służył on w Pniówku za rybaka. W jednym ze stawów, zwanym „Kalina", Bóg wie jakiemi drogami zapuściły się szczupaki. Oczywiście tępiły zarybek w zgoła barbarzyński sposób. Zgryźliwy dzierżawca Pniówka zakwalifikował powyższe zjawisko jako akt zemsty rybaka za coś tam i zwolnił onego Wiatrzyka ze służby, na cztery wiatry. Starym obyczajem powędrował oto Wiatrzyk do kościoła, aby złożyć przysięgę i zanieść dziedzicowi dowody swej niewinności. Moja interwencja nie odniosła skutku:

— Krnąbrny jest, leń i w dodatku niedołęga — oświadczył kategorycznie dzierżawca. Któżby tam dzisiaj respektował starego sługę? Skamieniały serca, rozwiało się szlachectwo ducha w zgiełku wojny i niepewności jutra, wśród socjalnych powikłań, waśni i podszczuwań, wśród nędznych zabiegów nad

gromadzeniem rozłażącego się dobra. A potem przyszli nowi ludzie o twardej pięści, zachłannej gębie i szyderczym uśmiechu... Toteż szczerze się uradowałem, że starowina zdołał jeszcze się zaczepić w Topornicy.

— Ale od śmierci dziedzica — gawędził — nie dzieje się dobrze w folwarku — o nie! Ordynarję to po prawdzie jeszcze i kapią, ale co do pensji — to nie widzi grosza już ze dwa kwartały. Aż wstyd chodzić i prosić. Pani dziedziczka nic, tylko się bawi, coraz to niby wychodzi zamąż. Już nastał trzeci rządca, to i z tym ciągle jeździ do miasta. Jak to wdowa. Markotno jej bez chłopa — wiadomo.

On, Wiatrzyk, mieszka w tym oto młynie, w alkierzyku. Żonie zmarło się w Pniówku, syn służy aż za Bugiem, córka przepadła w Rosji bez wieści. Został sam na świecie, jak palec. Kazała dziedziczka pilnować pól i stawów — to pilnuje — a jakże. Na zimę idzie na stół do czeladniej kuchni. Drzewo rąbie, wodę nosi, uważa na zimochowy — aby dalej — do końca.



Dziesiątak z Taczanowa, trofeum Jana ord. Taczanowskiego; 975 punktów według metody Dyka.

— A któż wam teraz strawę gotuje? — pytam na skutek pewnych asocjacyj żołądkowych.

— Sam, panie. Dwa trzy razy na tydzień jedna fornalka, trocha powinowata, przyniesie mi mleka i chleba, czasem uwarzę sobie kapusty z grochem — to i wszystko. Dzisiaj właśnie mam świeże mleko, jak pan nie pogardzi, to nagotuję kaszy jaglanej.

— Nagotujcie, Wiatrzyku, nagotujcie.

— Zara rozpalę ogień — a rano — ino czut' świt — zaprowadzę pana na „Górny". Nieduży to stawek i zarośnięty szuwarem, ale kaczki dziwnie go się trzymają — ot, wczoraj widziałem coś ze sześć takich czerwonych. Musi to podgorzałki, czy jak im tam. „Chodziły" przy samym brzegu i nie bały się nic ani nic..

— Dobrze — rozpalcie ogień, a ja tu posiedzę.

*

Cofam się o półwiecze wstecz... Taka sama cisza nocna spowija łąki, te same gwiazdy skrzą się i prószą brylantowym pyłem. Ponad młynem, jakby uwięziony w siatce wiotkich gałązek płaczących wierzb, świeci zadumany księżyc. Żwawiej szemrzą wody w upuście — rzeczka nie skrada się, nie pełza, jak dzisiaj, lecz z głębokim poszumem kłębi się i toczy swe pełne, żywe fale. Nietoperze krążą i igrają dokoła młyna, uderzają w oświetlone szybki alkierzyka, to znów znikają na dłuższą chwilę w cieniach nocy.

Wiatrzyk, jako kilkunastoletni wyrostek, pasie konie z rówieśnikami. Okrył się ojcowskim szynelem z czasów krymskiej wojny i napoły drzemie przy ognisku. Tamci leżą pokotem i chrapią na różne głosy. Jego to kolejka czuwać, a czuwać trzeba, bo wilki-kobylarze podchodzą z ordynackich lasów i krzaczastych łąk Zarzecza. Opodal w tumanach mgły parskają konie, głucho dudnią spętanemi nogami, lub podzwaniają łańcuchami. Kiedyniekiedy wystrzela jaskrawym słupem ognisko i wtedy w jego blasku zamajaczy mętna sylwetka konia, miarowo kiwającego łbem. Tenci zawsze trzyma się blisko ognia — naskubał się z wieczora rośnej, soczystej trawy do woli, a teraz huśta se łbem, jak jaki adwokat. Mądra jucha. Ale ognisko wnet przygasa, zatraca swe dymy w oparach łąk. Przesłaniają one i wyolbrzymiają wsze rzeczy w niezgłębioną tajemnicę. Jakżeż szeroko, wolno i pięknie wśród tych łąk! Od stawów dobiegają dziwne okrzyki żerujących czapli, zaszumi znagła w wyżynach stado cyranek, kuliki gdzieś zatroszczą się, zakwilą nasennie. Dopiero gdy Wiatrzyk z gwiazd wymiarkuje północek, wtedy robi mu się dziwnie obco i nieswojo. Przysiągłby, że słyszy skradające się stąpanie, czuje wiew zbliżającego się kształtu, widzi niemal w mdłej poświacie księżyca ów kształt straszliwy — nagły lęk bezwładem omota ciało, zdławi gardło, obleje siódmym potem, rzuci w dreszcz i gorączkę — aż to „coś" naraz przypadnie do ziemi, rozwieje się, czy zatai wśród wzdychających ziół. Może to „złe" krąży w mrokach, a może duszyczki zgubione żalą się i proszą o chrześcijański wspominek. Któż ta owe sprawy wyrozumie i ogarnie? Żegna się nabożnie, daje nurka w ojcowski szynel i powoli zasypia. Sumienie ma czyste — nakazy życiowe wypełnia gorliwie: trzeba pracować, pacierz odmawiać rano i wieczór, spowiadać się przed Wielkanocą, niewolno zabijać, krzywdzić, niewolno kraść tak, aby złapali. Strażnik i pan ze dworu przejmują go szacunkiem i strachem.

Dziś Wiatrzyk liczy sobie ponad sześć krzyżyków. Surowa jego i pierwotna dusza pozostała bez zmiany, niby monolit. Nie zmarnował spuścizny, przekazanej mu przez ojców. Nowych czasów i dziwów, które one przyniosły, nie rozumie zupełnie. Nie zaciekawiają go wcale — owszem, przerażają raczej. Nie posiadają one zgoła żadnego praktycznego znaczenia — pracować trzeba taksamo, jak i dawniej. A tu krzyż wygiął się w pałąk, głowa się trzęsie, ręce słabną, oczy zachodzą łzami, gdy się wpatrzą w dal. Bóg jest ciągle daleki w swej niezmiernej wszechmocy i sprawiedliwości, zaś ludzie coraz gorsi, coraz bardziej obcy i bezlitośni...

*

Skrzypnięcie drzwi spłoszyło moje dumania. Zakrzątał się mój gospodarz — wyniósł stołki, misę dymiącej kaszy, łyżki odwieczne, topolowe. Wyciągnąłem swoje zapasy, apetyt przytłumiony zmęczeniem pojawił się w całej pełni, więc kolacja na otwartem powietrzu wypadła zupełnie rzeczowo i aktywnie. Niezgorzej podjadł sobie i Bąk, poczem ułożyliśmy się społem na wiązce pachnącego siana. A gdyśmy obaj z Wiatrzykiem pozapalali papierosy, to nasz błogostan nie był znów tak daleki od jawnego epikureizmu. I wysoce naganną rzeczą byłoby przespanie takiej nocy w banalny i prozaiczny sposób, tembardziej, że i kozioł ofiarny i temat do gawędy był pod ręką. Wszak gdzieś tutaj, w pobliżu Topornicy, w czasie wojny z bolszewicką Rosją, zamordowano iście po bestjalsku czterech dzierżawców okolicznych folwarków, a w liczbie tej i Józefa Gołębiowskiego z Topornicy, którego znałem, ceniłem i z którym polowałem niejednokrotnie. Wydębić z tej starej gęśli Wiatrzyka ów *vox populi*, dotrzeć do samego źródła legendy — tego zwiewnego motyla prawdy, jak by drzemiącego w tajemniczych oplątach jedwabniczego kokonu...

— Powiedzcie mi, Wiatrzyku — zagadnąłem go ostrożnie — coście słyszeli o śmierci tutejszego dziedzica, pana Józefa Gołębiowskiego, jego brata ze Zdanówka oraz panów Matczyńskiego i Żelaźnickiego ze Stabrowa? Bo to u nas w Zamościu rozmaicie opowiadają, a ja chciałbym tę historję podać do gazet dokumentnie i prawdziwie...

Wiatrzyk puścił potężny kłęb dymu, rozejrzał się dokoła, jakby zbierając rozpierzchłe wspomnienia i jął opowiadać monotonnym głosem:

— Sprawiedliwie mówiąc, to nikt nie był przy tem od początku do końca i każdy opowiada inaczej, po swojemu. Jeden może gumienny ze Zdanówka najwięcej na to patrzył... a zawierzyć mu można, bo aż się zanosił od płaczu, jak mi tę rzecz opowiadał. Kiedy Budienny podchodził pod Zamość, to obaj panowie Gołębiowscy chcieli odrazu wyjechać do Zwierzyńca. Trzeba nieszczęścia, że pan Józef spotkał się z wojewodą z Lublina i ten mu ponoś powiedział, żeby siedział w domu i nie jechał w świat na marnację, bo niema nijakiej obawy, żeby bolszewiki doszły aż do Topornicy.

A że pan Józef znał się dobrze z wojewodą, jeszcze jak ten był plenipotentem ordynacji i później z Rosji — to mu uwierzył i siedział z bratem spokojnie doma.

A tu już i pan Kwapiszewski wyjechał, i pan Czarnowski, i ten dziedzic z Wieprzca, jak mu tam... cała okolica. Wiadomo było, że bolszewiki są zawzięte na panów dziedziców. Tymczasem — bodaj we wtorek z samego rania pod dwór w Topornicy zajeżdżają wypakowane wozy pana Matczyńskiego ze Stabrowa i panów Żelaźnickich — ojca z synem. Połączyli się i pojechali pospólnie. Dawaj namawiać pana Józefa: — uciekaj — peda — bo bolszewików tylko co nie widać. To on się zgodził, ino, powiada, wstąpimy do Zdanówka, do brata — to pojedziemy wszystkie razem.

Siedli na bryczki i podjechali do Zdanówka. To parę stajań, jak panu wiadomo. Siedzą oni we dworze, radzą, popijają arbatę — aż tu widzą bez okno, że jakiesi wojskowe najeżdżają na koniach. To młody pan Żelaźnicki wyskoczył do nich — myślał, że to petlurowcy — i pyta: — A bolszewików nie widzieliście?

— Ni — powiada jeden z nich i obejrzał się na swoich. Tak te zaraz okrążają go dokoła, okrążają...

A pan Żelaźnicki wyciąga na to leworwert z kieszeni i pada: — Bo jak przyjdą bolszewiki — to ot co mam dla nich... A ten się trocha z koniem cofnął. — Wot kak! — powiada. Zawrócił do tyłu i melduje starszemu:

— Towariszcz komisar — etot burżuj nie lubit bolszewikow! A ten na to: — Zarubit' jewo szaszkami! — nawet nie wyjął z gęby papierosa. Bolszewik najechał na pana Żelaźnickiego i zamachnął się szablą. Jak ciął — to odrąbał mu rękę, bo się zasłonił... A tu inni obskoczyli go... to ino raz krzyknął: — Ratujcie! — i koniec. Zarąbali go i — do dworu. Tamci buch! oknem do sadu. Obaj Gołębiowscy wypadli na folwark, bo stała tam bryczka. Ale gdzie! — w mig dognali ich i rozsiekali, jak i tamtego.

Pan Matczyński ze Stabrowa przekradł się jakoś poza drzewami w zboże. Nikt go nie widział, mógł w zbożu przeczekać biedę i żyłby sobie zdrów. A ten — czy może rozum mu odebrało, czy co — dalej uciekać naprzełaj bez pola. To go zgonili na koniach i zastrzelili. Krzyż stoi tera na tem miejscu.

Jeden starszy pan Żelaźnicki przedostał się do Topornicy, wskoczył na bryczkę i wio! na trakt Kosobudzki. Ale cóż? — wali drugi patrol gościńcem, bo bolszewiki, jak szarańcza, sypali się drogami, miedzami, łąkami. Zawrócili bryczkę do folwarku, wywlekli go, postawili pod stodołą i dawaj rychtować karabiny do rozstrzału. Drugie tymczasem do bryczki. Porozwalali kufry, toboły i dalej rabować, co się da. Aż w jakiejś walizie trafili na pudełko. Ciężkie, ważkie pudełko. Patrzą, a w nim złote ruble. Zasobny dziedzic był pan Żelaźnicki. Narobili krzyku: — Zołoto! zołoto! Wszystkie bolszewiki, ile ich było, zlecieli się, jak kruki, do tego „zołota". I te, co mieli brać pana Żelaźnickiego na rozstrzał. Dawaj się wodzić za łby, kłócić, dzielić. To dziedzic w pokrzywy, za stodołę, stamtąd poza opłotkami do ósmaku i do fornala znajomego. Przebrał się migiem w ichnie portki, starą koszulinę naciągnął, wymazał se gębę sadzą, krowę za postronek i pasie zara przy trakcie. Trzy dni udawał tak parobka i on jeden wyratował się z rąk tych zbójów.

A tamtych, panie, zabronili nawet pochować po ludzku. Leżeli tak z tydzień. Jeden tu widział psa, jak ogryzał odrąbaną rękę. Dopiero jak bolszewików nasi odegnali od Zamościa, to im wtedy sprawili pogrzeb. Piękny, honorny pogrzeb z wojskową muzyką. Mrowie ludzi wyległo i z miasta, i ze wsi. A i płakali ludziska ogromnie, a najwięcej za panem Józefem. Bo i gospodarz był, jak się patrzy, i z każdym bywało, porozmawia, każdemu dopomoże, poradzi. Rzetelny dziedzic był i poczciw człowiek. Nie będzie już chyba takich panów więcej. A i tamtych szkoda. Oj, namarnowali te moskiewskie wywłoki ludzkiego życia, namarnowali!

Odsapnął Wiatrzyk i pochylił głowę na lewe ramię. W głębokiej ciszy słychać było jeno monotonne zawodzenie komarów. Atakowały nas w rozsypkę i masowo. Bąk kłapał zębami w bezskutecznej walce z niewidzialnym wrogiem.

— Może pan pamięta — podjął Wiatrzyk po chwili — psa pana Józefa — duży taki, do polowania, wołał się As! Ten As z pół roku po tym wypadku latał nocami z Topornicy do Zdanówka, siadał przy drodze koło folwarku i wył do samego rana. — Aż strach człowieka zbierał. Zdechło mu się tego roku na wiosnę. Może i pożyłby jeszcze, ale nikt o niego nie dbał, a po prawdzie to uciekał od ludzi, krył się po dziurach i zdechł z żałości, bo inne stworzenie czuje taksamo, jak człowiek i napewno widzi takie rzeczy, które dla człowieka zakryła wola boska, chociaż...

Tu Wiatrzyk się zawahał i gorliwie zajął się odpędzaniem komarów.

— Co „chociaż" — podchwyciłem, nieco zdziwiony myślą mego interlokutora.

— Niedobrze jest mówić po nocy o takich sprawach — mruknął — ale i ja widziałem...

— Cóżeście widzieli?

Wiatrzyk przyciszył głos.

— Widziałem, jak chodzą, panie, ich dusze po tej ziemi — świeć im Panie.

— Chodzą?

— Chodzą... Jakoś pod koniec wiosny strasznie chłopi wypasali koniczynę na tej niwce od Zdanówka. Wjedzie końmi w środek koniczyny i ani rusz go złapać, bo zaraz konie batem i w nogi. Chciałem wymiarkować, który to z nich wypasa... zasiadłem se w życie, niedaleko miedzy. Noc była widna, księżycowa — ot jakby dzisiaj, łan koniczyny widać dobrze, zające się pożywiają, figlują — a moich szkodników ani słychu. Ale siedzę — północ już minęła, koguty w Zdanówku już przepiały, przecierać się już zaczyna na świecie — a ja furt siedzę. Aż tu, widzę, idzie miedzą czterech ludzi — jeden za drugim. Byłem z tym oto pieskiem. Patrzę, a on trzęsie się ze strachu, sierść na nim się jeży, garnie się pod nogi i ani mru-mru... Przykucnąłem w życie... a miedza odemnie może jakieś dziesięć, piętnaście kroków... Idzie najsampierw pan Gołębiowski, potem jego brat, potem pan Żelaźnicki, a na końcu pan ze Stabrowa. Kroków nie słychać, nic do siebie nie mówią, patrzą

w ziemię — ino twarze bieleją, jak śnieg. Jezus ci Marja! serce mi stanęło — dziw, żem nie zemdlał. Do świtu przeleżałem w życie — aż mnie odeszło. Jakby mnie kto postronkami omotał... Przychodzę w południe do pani dziedziczki i mówię, jak i co — to pani się zasumowała, nie kazała mi rozpowiadać o tem i zara pojechała do miasta dać na mszę świętą.

Gumienny znów ich widział koło folwarku... chodzą, panie, wieczny im odpoczynek... Toż to sami gospodarze — muszą doglądać i pól i dobytku...

Zamilkł Wiatrzyk i szczelniej owinął się w burkę. Tuż obok srebrzyła się rzeczka Topornica — jej drobne fale unosiły w mgłę zapomnienia zasłyszaną opowieść.

Wśród łąk odnowa wstawało radosne życie.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

MYŚLIWSKIE STROFKI.

W słońcu, pod słońce, rozzłocone
stada kuropatw mkną spłoszone.

Sztrajfa przyczajona,
schylona,
przez łęcie, przez liście
szeleszcze...
Strzał wgórę podrywa ramiona!
Huk! Pió-ó-ó-ro!...
...I dalej, i jeszcze!...

W słońcu, pod słońce, w blasku słońca —
zda się, że radość nie ma końca!...

Bażant złotą strzałą zerwie się z gałęzi,
trwożliwie, z furkliwym nieładem...
Chwilę —
w słońca pyle
strzał go mój uwięzi —
i nadół ściągnie półkulistym spadem.

Niechaj serce ci mocno nie wali — usłyszy...
Niech okiść pod twym wzrokiem nie zsunie się w ciszy...
Lis czarnem uszkiem chwyci, gdy liść trąci listkiem,
w pyle śniegu ci zniknie —
i będzie po wszystkiem...

Lubisz moje poroża, pięknie uperlone —
ale to, że je zrzucam, mam na swą obronę.
Ja nie zawsze mam rogi — a człowiek mieć może —
pomyśl! — w zimie, i w lecie, i o każdej porze...

Z damą — niema polowania;
wiedz nazawsze o tem...
Choćby była, niczem łania —
z damą niema polowania:
cel twój sobą ci przesłania,
peszy swym szczebiotem...
Z damą niema polowania;
wiedz nazawsze o tem!

MARJA MAZURKIEWICZÓWNA.

POLOWANIE NA KOZICE GÓRSKIE W CZESKICH TATRACH.

Wielu z nas zna rozkosze górskich zimowych sportów, kiedy to na nartach dane nam jest jednocześnie korzystać ze śniegu, mroźnego powietrza i przepięknego słońca.

Nie brak w naszych Tatrach pięknych wysokogórskich wycieczek, którąby doliną nie wejść: czy Hohołowską, czy Kościeliską, czy pod Giewont, lub przez Halę Gąsienicową — wszędzie mamy przepiękne górskie krajobrazy i wyśmienite, choć przeważnie trudne, tereny sportowe.

Każdy, kto choć trochę ma żyłki myśliwskiej, zdaje sobie sprawę, jak przemiłem urozmaiceniem górskiej turystyki i zimowych sportów jest to ożywienie krajobrazu, jakiem jest zwierzyna. A cóż dopiero, kiedy w tych wspaniałych ramach natury można zapolować! Tego wyjątkowego szczęścia doznałem właśnie w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy otrzymałem prawo odstrzału jednego capa.

Wyszedłem z Zakopanego ze znajomym i przewodnikiem przez dolinę Kościeliską z zamiarem przejścia na czeską stronę. Przez dwa poprzednie dni spadł śliczny, świeży śnieg i byliśmy przekonani, że nasza wycieczka uda się jak najlepiej. Niestety pod przełęczą Tomanową zastaliśmy śnieg tak lekki i nieubity, że pod każdym krokiem narty ugniatały półmetrową warstwę, a czasami i grubszą. Było nas wprawdzie trzech i kolejno obejmowaliśmy ciężką rolę przodownika. Pomimo że z Zakopanego wyszliśmy już o szóstej zrana i że dla wykorzystania krótkiego dnia wyjechaliśmy sankami do doliny Kościeliskiej — stanęliśmy dopiero o pierwszej pod przełęczą, mocno zmęczeni. W normalnych warunkach znamy tę przełęcz, jako bodaj że najłatwiejszą. Tym jednak razem, pomimo że brakowało nam tylko dwu godzin do szczytu, postanowiliśmy wrócić. Śnieg był tak ciężki, sami byliśmy tak obładowani, że dopiero późną nocą zdołalibyśmy dojść do leśniczówki w Podbańskiem. Po powrocie do Zakopanego postanowiliśmy jeden dzień przeczekać i dopiero następnego dnia tą samą drogą, po ubitym śniegu, wyruszyć. Zresztą, mieliśmy też nadzieję, że nas ktoś wyprzedzi, coby nam bardzo ułatwiło drogę. Nasze przewidywania sprawdziły się. Po dwóch dniach przeszliśmy szczęśliwie przełęcz i po trzynastu godzinach dotarliśmy do wyżej wspomnianej czeskiej leśniczówki. Już od przełęczy Tomanowej zaczyna się czeskie terytorjum. Mieliśmy tam niezbyt długi, ale śliczny zjazd, a potem znaną narciarzom, bardzo długą i przyjemną drogę przez dolinę Cichą. Nasz wytrawny, stary przewodnik zakopiański, którego incognito chciałbym zachować, znał te strony szczególnie dobrze, jako myśliwy...

W leśniczówce zaraz porozumiałem się w sprawie mojego odstrzału i brakło mi słów uznania dla władz czeskich, skoro się dowiedziałem, że moją bazą będzie Szczyrbskie jezioro. Trudno bowiem lepiej wybrać! Okolice Popradskiego Stawu, dolina Młynicy, dolina Złomisk są bowiem najbogatsze w kozice. A przytem świetny hotel w Szczyrbskim Plesie też jest nie do pogardzenia po tak mozolnych spinaczkach. Czemprędzej więc wyruszyliśmy z Podbańskiej do Szczyrby, aby tam oddać się pod opiekę p. leśniczego Lechockiego, w którego rewirze miałem polować. Tutaj dopiero rozpoczął się raj myśliwego i narciarza. Ponieważ przyszedłem w same święta Bożego Narodzenia, więc

przeczekaliśmy dwa dni, w ciągu których z lornetką, lecz bez sztucera, penetrowałem najbliższą okolicę. Już z poprzednich lat dobrze mi były znane tamtejsze doliny, jako śliczne tereny narciarskie, a w tym roku śnieg był bardzo dobry. Z tem większą więc satysfakcją od rana do nocy wypatrywałem kozice na dzikich zboczach skalnych. Zaraz mogłem stwierdzić, że kozic jest bardzo dużo. Toteż nielada miałem emocję, kiedy w trzeci dzień świąt rozpoczęliśmy polowanie. Prowadził p. Lechocki i miejscowy gajowy, ja zwykle szedłem trzeci. Pierwszego dnia poszliśmy doliną Młynicy do wodospadów, ponad wodospady i tam długo wypatrywaliśmy, gdzie będzie najlepiej spotkać się z kozicami. Jak zwykle bywa w takich razach, tego dnia nie było ich tam, gdzie zawsze przebywają. Zeszliśmy trochę wschodnią stroną doliny i koło godziny wpół do pierwszej doszliśmy do żlebu, którym mieliśmy wejść wgórę. Trzeba było zdjąć narty, założyć raki i cicho, nie zrzucając kamieni, wdrapywać się. Już poprzedniego dnia wiedziałem, że na płaskim szczycie, do którego dążyliśmy, pasą się zwykle liczne kozice. Było już po drugiej, kiedy pierwszy p. Lechocki doszedł do góry. Ja szedłem za nim, a nasz poczciwy, stary gajowy znacznie się opóźnił i posuwał się powoli, kilkadziesiąt metrów niżej. Oczywiście przy takiem „skrobaniu się" miałem lunetę schowaną i lornetkę tak zamoczoną, że jej narazie użyć nie mogłem.

Kiedy wyszliśmy z za ostatnich skał, kończących żleb, p. Lechocki szybkiemi gestami dawał znak, abym natychmiast podszedł wyżej. Okazało się, że kozice tym razem były bardzo blisko nas i, zanim zdołaliśmy się rozejrzeć, już się spłoszyły. Było to ogromne stado, złożone z kilkunastu sztuk. Siedem kozic dziwnym zbiegiem okoliczności zatoczyło półkole, galopując po płaskim stoku w stronę południową i przeszło poniżej, pomiędzy gajowym a mną. Niestety ani jednej z nich nie widziałem. P. Lechocki, który mnie mocno wyprzedził, miał kilka sztuk bardzo blisko, a jednego capa mógł obserwować przez dobrą chwilę, o kilkanaście kroków. Po ogólnem zamieszaniu, jakie spowodowało to ogromne stado kozic, skonsternowani wyszliśmy do żlebu. P. Lechocki nie był ze mnie zadowolony, znał to miejsce, jako jedno z najlepszych na jego terenie i był przekonany, zresztą zupełnie słusznie, że tutaj capa dostaniemy. Ja znów niczego nie żałowałem, gdyż byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby to przepiękne polowanie miało skończyć się już pierwszego dnia. Wprawdzie do 1-go stycznia dużo czasu nie zostało, ale szczerzebym się zmartwił, gdybym w następnych dniach już tylko z lornetką mógł po tych górach spacerować. Jeszcze zdaleka mogliśmy obserwować, jak te zgrabne zwierzęta uciekały po skałach i wkrótce znikły. Ponieważ było już dość późno i tego dnia można było uważać nasze polowanie za skończone, więc w milczeniu wzięliśmy się do śniadania. P. Lechocki wyraźnie był niezadowolony, mało mówił w naszej drodze powrotnej, która zresztą była ogromnie uciążliwą, schodziliśmy bowiem skróconą drogą po kosodrzewinie, częściowo tylko pokrytej śniegiem; co chwila narty zaczepiały się nam o wystające krzaki. Jest to bodaj najcięższy zjazd, jaki sobie można wyobrazić, bo kiedy człowiek raz się przewróci, to wpada głęboko między krzaki, z których niezmiernie trudno jest się wydostać. Po trzygodzinnym marszu, bo właściwie więcej się chodziło, niż jechało, dotarliśmy do ścieżki, dobrze znanej turystom, między Popradskim Stawem a Szczyrbą i tam już byliśmy w domu. Po drodze ratowałem jeszcze jakieś panienki, które w ciemnościach zabłądziły i na zlodowaciałej ścieżce z ledwością mogły się posuwać.

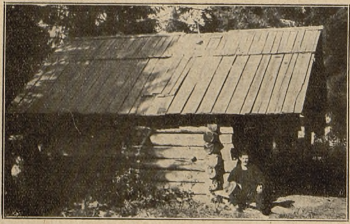
W następnych dniach wychodziliśmy w tym samym składzie i zawsze o świcie, aby wykorzystać krótki, zimowy dzień. Na kozice można wprawdzie polować zarówno w południe, jak rano i wieczorem, ale miejsca, w których przebywają, są bardzo dalekie i niedostępne. Oto np. piątego dnia mojego polowania, kiedy po niezliczonych tarapatach dni poprzednich trochę zwątpiłem w rezultat, poszliśmy doliną Złomisk do wielkiej kotliny górskiej, bardzo wysoko położonej. Dzień zapowiadał się bardzo niekorzystnie, bo była gęsta mgła i nawet p. Lechocki, który przecież tę okolicę świetnie zna, chwilami przestawał się orjentować. Stary góral ratował nas w tych sytuacjach i po kilku godzinach marszu doszliśmy do owej kotliny, już bliskiej bardzo granicy polskiej. Mgła była ciągle gęsta i o podchodzeniu kozic nie mogło być mowy.



Szczęśliwe zakończenie.

Po dłuższem czekaniu poczuliśmy lekki wiatr i zaledwie w kilka sekund później cała kotlina, wraz z otaczającemi wysokiemi górami, stanęła nam wyraźnie przed oczami. Był to przepiękny widok, bo jest to jedna z najładniejszych okolic tatrzańskich, której przedtem wcale nie znałem i która teraz uwidoczniła się w jednej, można powiedzieć, chwili. Ale jeszcze nie miałem czasu rozejrzeć się i podziwiać krajobrazu, kiedy już p. Lechocki i nasz gajowy zauważyli kilka grup kozic w różnych punktach otaczających nas skał. Był też wśród nich pojedyńczy, duży cap, którego postanowiłem zaraz podchodzić. Zbocze, na którem stał, było dość strome, ale niepotrzeba było zdejmować nart. Szedłem więc cicho, wybierając miejsca zaśnieżone, a p. Lechocki z gajowym zostali w kotlinie. W pocie czoła przeszedłem kilkaset metrów, nie widząc zresztą owego capa, gdyż chciałem go podejść zboku, a skały nas dzieliły — kiedy już zdołu kiwają mi, że cap uciekł. Zrozpaczony zmieniłem kierunek i, zsuwając się po zboczu, zacząłem podchodzić grupę kozic, którą już przedtem zaobserwowałem zdołu. Znów po jakiejś godzinie zdołałem zbliżyć się do mojego celu, ale tym razem rozczarowanie było jeszcze większe. Okazało się bowiem po długiem obserwowaniu przez lornetkę, że były to tylko dwie kozy z koźlęciem. Na tem zboczu nie było już więcej czego szukać. Zjechałem więc czemprędzej. Było już koło pierwszej w południe. Od domu byliśmy bardzo daleko, trzeba więc było kierować się w drogę powrotną, ale idąc po zboczach wielkiej góry, zwanej Solisko. Pierwszy szedł gajowy, drugi p. Lechocki i ja trzeci, a dalej za nami podążał mój przewodnik zakopiański, któremu tego dnia nie mogłem już odmówić towarzyszenia nam. Szliśmy dosyć wolno, gdyż zbocze było miejscami zlodowaciałe i, żeby narty się nie usunęły, trzeba było bardzo ostrożnie stąpać. Zdaleka widać było przez lornetkę mały, czarny punkcik — był to z pewnością cap, toteż chętnie wszyscy podążaliśmy w tym kierunku. W międzyczasie znów nadeszła taka mgła, że koło drugiej godziny o kilkanaście metrów nic nie było widać. Po dłuższym marszu w tem szarem,

zimnem otoczeniu zatrzymał nas hałas skaczących kozic. Widocznie spłoszyliśmy kilka sztuk i doszliśmy już do południowej strony szczytu. Po chwili zatrzymania poszedłem sam z gajowym dalej, a p. Lechocki z naszym góralem pozostali wtyle. Znów szliśmy dalej w gęstej mgle, kiedy w pewnej chwili, prawie jednocześnie, zauważyliśmy z gajowym dwa ciemne kontury. Mogły to być zarówno kozice, jak i skały, ale w każdym razie stanęliśmy cichutko, czekając czy się poruszą. Przygotowałem sztucer, oparłem go na kijkach i tak czekałem dobre pół godziny, wiedząc już z pewnością, iż mam przed sobą kozice o kilkadziesiąt zaledwie kroków. Cisza była zupełna, bez krzty wiatru, lecz mgła równomiernie i uporczywie trwała, ale ponieważ blisko byliśmy zachodu słońca, więc miałem nadzieję, że może przyjdzie jednak jakiś lekki powiew. Tak się też stało. Po długiem czekaniu, bo najmniejszy ruch napewnoby nasze kozice spłoszył, kiedy już mocno skostniałem, przyszedł upragniony wiaterek. W pewnej chwili poczuliśmy jeszcze większy chłód i kontury zaczęły się coraz więcej rozjaśniać. Gajowy miał lornetkę, ja obserwowałem przez lunetę i zaraz widzieliśmy, że mamy przed sobą dwa capy. W chwilę potem padł mój strzał i razem z nim upragniony tatrzański cap. Pomimo, że dystans był bardzo bliski i strzał na komorę, jednakże ostatnim susem cap nasz zbliżył się do bardziej stromego zbocza i tam stoczył się o kilkadziesiąt metrów niżej. Bardzo trudno było go odnaleźć i tutaj mój góral zakopiański ogromnie się przydał. Wciągnęliśmy capa na miejsce strzału i zaczęło się oglądanie ze wszystkich stron tego tak bardzo rzadkiego trofeum myśliwskiego. Okazał się niem wyjątkowo piękny egzemplarz, o rogach szeroko rozstawionych, długich i choć nigdy kozicy nie zabiłem, jednak mogłem łatwo stwierdzić, że to był bardzo stary okaz.



Koliba na Towstem. Gorgoniuk odpoczywa. Fot. M. G.

Drogę powrotną ze strony czeskiej na polską wybrałem znów przez góry i chociaż byliśmy ciężko obładowani plecakami i sztucerem, jednak wolałem z moim góralem przejść dłuższym szlakiem. Szlak ten prowadził ze Szczyrbskiego jeziora przez Poprad, Hlińskie jezioro, przełęcz Koprową, przełęcz Zawory, przełęcz Gładką do Pięciu Stawów.

Brak miejsca nie pozwala mi, niestety, opisać tej przepięknej wycieczki powrotnej, pragnąłbym jednak zwrócić tu uwagę czytelników, a w szczególności władz kompetentnych, na porównanie stanu zwierzyny w naszych i czeskich Tatrach. Kto częściej w tych stronach wycieczkuje, tego za każdym razem uderzy kompletna martwota pod względem zwierzostanu naszej części gór. Czeska strona, pomijając dzikie okolice, w których polowałem, jest przecież bardzo zaludniona, mnóstwo tam hoteli i turystów, szos z autobusami i t. p., a jednak bez najmniejszej przesady muszę stwierdzić, że roi się tam od zwierzyny. W ciągu tych kilku dni widziałem kilkadziesiąt kozic; od strony tatrzańskiej Łomnicy widziałem 9 sarn w ciągu 2 dni, jelenia z łanią i mnóstwo śladów. W drodze powrotnej w czeskich dolinach wszędzie spotykałem kozice i z przykrością muszę przyznać, że, kiedy przekroczyłem polskie przełęcze, więcej już żadnego zwierza nie spotkałem. Przecież poza polowaniem, o którem tu piszę, bardzo często chodzę po naszych Tatrach, ale nie pamiętam, żebym kiedy spotkał kozicę i tylko raz danem mi było zobaczyć sarnę.

Komuś, kto bliżej nie interesował się zwierzyną w tych stronach, może się wydawać przesadą to, co piszę. Muszę jednak jeszcze raz powtórzyć, że w naszych Tatrach zwierzostan jest zastraszająco zły. Miałem możność wniknąć w przyczyny tego, które są zresztą bardzo proste, a które polegają na tem, że prawie wszyscy zakopiańscy górale są kłusownikami. Władze widocznie nie wniknęły w tę sytuację, gdyż cały szereg naszych górali dzierżawi maleńkie tereny pod Zakopanem, co daje im prawo do pozwolenia na broń i na polowanie, ale umożliwia kłusowanie po całych Tatrach. Wiadomem mi jest i rzecz tę sprawdziłem, że w jesieni r. ub. zakopiańscy górale zabili niedźwiedzia i jelenia w dolinie Cichej, po czeskiej stronie, a skórę sprzedali w Zakopanem. Widziałem też w głębokich Tatrach sztucer schowany w szczelinie skalnej. Była to broń zakopiańskiego górala, który poluje po czeskiej stronie.

Poprawa tego stanu rzeczy jest kwestją wielu lat, jednakże należałoby jak najprędzej radykalnie potraktować tak rozpanoszone kłusownictwo i choć w części zbliżyć się do zwierzostanu naszych sąsiadów.

Pragnąłbym jeszcze bardzo serdecznie podziękować panu inżynierowi Hermanowi Knothemu, dzięki któremu otrzymałem ten odstrzał i mogłem skorzystać z jednego z najpiękniejszych polowań, jakie mamy w Europie.

A. I.

POLOWANIE NA LISA Z BEAGLAMI.

Wątpię, czy w Polsce w dzisiejszych czasach polowanie *par force* z gończemi psami praktykuje się gdziekolwiek. W dobie reform rolnych i ogólnych przewrotów społecznych tego rodzaju polowanie trudne jest do wykonania. W czasach przedwojennych mieliśmy jednak sposobność zapoznać się dokładnie z łowami *par force*, biorąc w nich niejednokrotnie udział. Dla myśliwych obecnej doby sądzę, że będzie ciekawą rzeczą zaznajomić się z tem polowaniem, odbywającem się konno, przy pomocy psów gończych.

Są dwa rodzaje konnych polowań z psami na zwierzynę. Szczucie chartami oraz gonienie konno, do upadłego, przy pomocy specjalnej rasy psów gończych, w tym celu ułożonych i tresowanych. Szczucie zwierzyny chartami ma na celu upolowanie zwierzyny przez psy, które zdolne są na krótką metę do rozwinięcia bardzo szybkiego biegu i zdławienia swemi silnemi kłami dogonionego zwierza. Polowanie konne z psami gończemi ma cel odmienny. W tem polowaniu nie chodzi o to, żeby gonioną zwierzynę psy dopadły i zdławiły, lecz o to, by gon trwał jak najdłużej, aż do tej chwili, kiedy gonione zwierzę, wyczerpawszy swe siły, padnie nieżywe. Wprawdzie gruba zwierzyna, jak jelenie i dziki, gonione przez czas dłuższy, nie padają, lecz stają i bronią się przed psami, ale cel myśliwi mają ten sam. Celem bowiem głównym jest jazda konna naprzełaj, po terenie pełnym przeszkód i różnych niespodzianek dla prześladujących zwierzynę jeźdźców. Charty gonią zwierza na oko, gdy stracą go z widoku — stają bezradne. Psy gończe gonią zwierzynę za tropem i rzadko kiedy mają ją na widoku. Polowanie z chartami przyszło do nas ze stepów azjatyckich, polowanie z *Beaglami* (czytaj biglami) przyszło z zachodu, z Anglji.

Kolebką tego rodzaju polowania zdaje się być Francja, gdzie w średniowieczu było ono uprawiane jako łowy na grubą zwierzynę, a głównie na jelenie. Wtedy jeszcze miało ono za cel zdobycie zwierzyny. W czasach zaś nowszych służyło i służy tylko jako rozrywka oraz popis w konnej jeździe, w terenie nieraz trudnym do przebycia, gdzie jeździec musi rozwinąć przytomność umysłu, zręczność w braniu przeszkód, rywalizując z licznym szeregiem współzawodników.

W braku zwierzyny i psów, radzą dziś sobie amatorzy konnej jazdy, szczególnie w kołach wojskowych, w ten sposób, że zamiast jelenia, wyjeżdża najzręczniejszy jeździec, gubi się w terenie, znacząc jednak swą drogę kolorowemi skrawkami papieru, które rozrzuca po drodze. Papier ten ma właściwie zastąpić nieobecne w tem polowaniu psy gończe. Taka „namiastka" polowania *par force* jest o tyle dobrą, że można ją wszędzie zaimprowizować, nie wymaga żadnych kosztów, a jeżeli dobrze jest prowadzona, ma również urok i daje emocje. Jednak z polowaniem z *Beaglami* nie da się porównać.

Z Francji polowanie *par force* dostało się do Anglji i tam dopiero rozwinęło się i pozostało rozrywką narodową. Sprzyjał temu głównie społeczny ustrój Anglji, który we Francji, w dobie porewolucyjnej uległ zupełnej zmianie oraz zamiłowanie Anglików do hazardownej konnej jazdy. W Anglji powstały specjalne rasy psów, odmienne dla każdej gonionej zwierzyny. Mamy tam obecnie rasę psów, używanych do gonienia jeleni, rasę gończych do polowań na wydry oraz rasę specjalną i najwięcej rozpowszechnioną do polowań na lisy.

Również do jazdy na tego rodzaju polowaniach używane bywają konie w tym celu produkowane, tworzące osobną rasę hunterów irlandzkich.

W Polsce główną przeszkodą w tego rodzaju polowaniach są i były stosunki dworu z ludnością wiejską, podburzaną przez agitację żywiołów wywrotowych. Przejazd konno po zasiewach jesiennych, w pewnych wyjątkowych warunkach może czynić niejakie szkody. Są one jednak tak nieznaczne, że dawniej ludność wiejska nie zwracała nawet na to uwagi i nie żądała wynagrodzenia. W czasach jednak, gdy agitatorzy przewrotów społecznych dotarli do wsi i zaczęli podburzać jedne warstwy społeczne przeciw drugim, ludność wiejska występowała wrogo przeciw uczestnikom polowań *par force* i niejednokrotnie przychodziło do groźnych napadów ze strony ludności na powracających z polowań myśliwych. Nawet inteligentnym rolnikom wydać się może, że przejazd konny po zasiewach ozimych w późnej jesieni powodować musi dotkliwe straty w plonach. Mniemanie to jednak jest błędne. Jeżeli pola z oziminą, stratowane przez konie w jesieni, nawet w czasie słotnym, będziemy badać na wiosnę, gdy oziminy zaczną się krzewić, to nie będziemy w stanie dopatrzeć najmniejszej szkody, uczynionej przez kopyta koni w jesieni. Mamy tu naturalnie na myśli żyzne, podolskie łany, a nie lotne piaski lub wydmy. Wszak znaną jest rzeczą, że na Podolu po zasiewie ozimin ludność wsi wygania wszelki dobytek na paszę w oziminach i że konie, jak i bydło rogate, całą jesień, aż do śniegów pasą się samopas po zasianych polach, nawet często nietylko w dzień, lecz i w nocy.



Nielubowicz, wabiarz łosi. Fot. W. Korsak.

Takie tratowanie i spasanie ozimin nie może przecież iść w porównanie z tem, jeżeli nawet kilkadziesiąt koni, choćby parę razy, przebiega w różnych kierunkach olbrzymi teren, na którym odbywa się gon zwierzyny przy polowaniu *par force*. W tym wypadku absolutnie o jakiejś, dającej się cyfrowo obliczyć, szkodzie niema mowy. Naturalnie, że, jak we wszystkiem, i tu są pewne granice. Jeżelibyśmy jednym zagonem wzdłuż, w czas mokry, gdy ziemia rozgrzęźnie, puścili czwórkami szwadron ułanów, to prawdopodobnie, mogłaby powstać szkoda, lecz nawet i w tym wypadku, można zgóry twierdzić, że mogłaby, lecz niekoniecznie musiałaby ona nastąpić. Dopiero na wiosnę możnaby przekonać się o tem naprawdę. Te spostrzeżenia, które mogą się niejednemu wydawać nieprawdopodobnemi, robiłem niejednokrotnie na polach, stratowanych końmi w czasie polowań *par force*. Rolnicy, którzy sieją zboże w szerokich rzędach, lub, jak obecnie nawet, sadzą je kupkowo, zrozumieją mnie najlepiej.

Przed laty na Podolu, w dzisiejszej Małopolsce, hr. X. utrzymywał sforę psów *Beaglów* oraz *Hundsmanna* anglika. Co rok w październiku odbywały się w ciągu paru tygodni polowania *par force*, głównie na zające, gdyż na stepach tamtejszych rzadko z lisem spotkać się było można. Mieszkańcy wsi, leżących na terytorjum, gdzie odbywały się polowania, nigdy nie wnosili skarg do zarządu o wynagrodzenie za rzekome szkody, których w rzeczywistości nie było. Ale z chwilą, gdy we wsiach pojawili się agitatorzy i zaczęli siać nienawiść klasową, przyszło i tu do zaburzeń.

Pewnego razu, podczas powrotu całego towarzystwa z polowania, gromada włościan, podburzona przez byłego ekonoma, zastąpiła drogę na grobli i rzuciła się na powracających z pałkami i bronią palną. Zaskoczone znienacka towarzystwo, w którem znajdowały się również i panie, znalazło się w przykrej sytuacji. Dzięki jednak przytomności umysłu jednego z myśliwych, przebito się przez zastępujące drogę szeregi. Skończyło się na strachu. Strzały napastników nikogo nie raniły; być może, że nie były ostre, tylko ślepe dla napędzenia postrachu koniom. Odbyła się później rozprawa przed sądem przysięgłych. Oskarżonych uwolniono. Tłomaczyli się tem, że nie widzieli jeszcze nigdy panów w czerwonych frakach i białych rajtuzach, więc dlatego się zebrali. Kto strzelał — niewiadomo; konie bili dlatego, że bali się, by ich nie stratowały. Po tem nieprzyjemnem dla uczestników polowania i dla gospodarza zajściu polowanie *par force* zostało zaniechane, lecz po dwóch latach przerwy znowu je wznowiono i już bez żadnych zajść z ludnością wiejską prowadzono dalej. Zaszły jednak pewne zmiany.



Wabiarz losi. Fot. W. Korsak.

Czerwone fraki i białe rajtuzy zastąpiono zwykłem ubraniem do konnej jazdy oraz ogłoszono, że zarząd dóbr wypłaci poszkodowanym za każde kopyto konia, wyciśnięte na jego oziminie pewną ustaloną kwotę pieniężną. Pomimo to, o odszkodowanie nikt się nie zgłaszał.

*

Z końcem października, w pogodny dzień jesienny miałem przyjemność prowadzić całe towarzystwo myśliwych, składające się z szesnastu jeźdźców, na upatrzonego przezemnie w stepie lisa. Choć lisy w polach stepowych miały nory i wywodziły się w nich, to jednak w jesieni rzadko kiedy można było spotkać się z lisem w polu, gdyż na ten czas przenosiły się one do odległych lasów. Jamy były w czasie polowań badane przy pomocy wiezionych na rezerwowych koniach jamników. Prawie zawsze okazywało się, że lisów w nich niema. Upatrzyłem lisa na odległym o parę kilometrów stepie, na którym na małej torfowej łączce rosło kilka krzaków łoziny pomiędzy wysoką trawą i trzciną. Lisa widywałem często w tej okolicy i byłem prawie pewnym, że wśród czystego stepu obrał sobie za schronisko, w czas stałej pogody, kępy łoziny na łączce. Tam więc skierowałem całą kompanję myśliwych. Tuż za mną, jechał dojeżdżacz (Hundsmann) ze złają psów, składającą się z dwudziestukilku angielskich *Beaglów*. Łączka, gdzie miał się znajdować lis, była otoczona fosami i ciągnęła się parę kilometrów, wąską smugą. Kiedy całe towarzystwo nadjechało nad fosę, dojeżdżacz z psami przeskoczył ją i wjechał w trawy i łozy. Myśmy oczekiwali za rowem, czy rzeczywiście okaże się, że lis tam przebywa, nie chcąc nadaremnie brać przeszkód końmi tam i z powrotem, gdyby się okazało, że lisa niema.

W chwili, gdy tylko psy weszły w trawę, szmyrgnął lis na drugą stronę przez rów i darł w pole, co mu sił starczyło. Nie każdy z jeźdźców spostrzegł lisa. Dopiero gdy psy wpadły na trop i zaczęły głosić, ruszyli wszyscy jeźdźcy naprzód. Biorąc fosę po drugiej stronie łąki, uczułem, że popręgi zluzowały i siodło się chwieje. Wstrzymałem przeto konia, aby umocnić siodło. Nie było to jednak łatwą rzeczą, bo koń rwał się za towarzystwem i ledwo dałem sobie z nim radę. Gdy go dosiadłem ponownie i wyjechałem z zagłębienia, cały gon był już znacznie oddalony odemnie. Lis umykał w kierunku wioski, położonej o parę kilometrów na stoku pagórka. Wsie podolskie nie ciągną się, jak zwykle w Polsce bywa, jedną ulicą, lecz zbudowane są tak, jak miasteczka, z bocznemi, krętemi i wąskiemi uliczkami. Każde obejście ogradzają drewniane płoty, lub nawet z gliny, kamieni i błota, lepione. Widząc, że lis zmyka do wsi, puściłem się co koń wyskoczy naprzełaj, chąc mu przeciąć drogę i skierować bieg jego w pola. Nie mogłem jednak tego dopiąć. Zanim przyjechałem przed wieś, lis już dopadł pierwszych opłotków i, przesadziwszy je, buchnął pomiędzy gmatwaninę zabudowań, płotów, rowów i drzew. Psy ruszyły za nim, a za niemi podążyło całe towarzystwo. W tym momencie znajdowałem się na skraju wioski. Ze wsi dochodziły krzyki przestraszonych kobiet, wrzaski dzieci, szczekanie wiejskich kundli i granie złai psów gończych. Nie miałem ochoty ani potrzeby wpaść w ten chaos i brać niebezpieczne przeszkody, narażając się na możliwość stratowania kobiet lub dzieci przez mego konia. Wolałem objechać wieś i po przeciwnej stronie oczekiwać lisa i psów, które wraz z goniącymi wpadły w niebezpieczną matnię. W chwili, gdy dojeżdżałem w pełnym galopie do środka wsi, po jej drugiej stronie, przez pole ujrzałem lisa, jak wymknął się z opłotków i sadził przez zagony, w kierunku znacznie oddalonego lasu. Psy jeszcze nie nadbiegły. Gdy pojawiły się, skierowałem je na trop lisa i puściłem się sam za gonem. Jeźdźców nie było widać. Borykali się z napotykanemi przeszkodami we wsi, którą musieli wpoprzek za goniącemi psami przejechać. Pędziłem ostrym galopem tuż za psami, koń mój pokryty był białą pianą, mnie też nie było zimno. Psy szły równo, nie gubiąc tropu, ale lis nie zwalniał ani na sekundę, tylko, wyciągnąwszy się, jak struna, szmyrgał żywo naprzód.

Nie miałem nadziei, by go można było sforsować, bo las coraz wyraźniej majaczył na horyzoncie. Po paru jednak kilometrach zauważyłem, że psy coraz więcej zbliżają się do lisa. Teraz byłem pewny, że go opuszczają siły i że wkrótce wyczerpie je zupełnie. Jakoż niebawem ujrzałem, że się potyka, przewraca i goni resztkami sił. Gon zwolniał stopniowo, bo i psy były należycie przemęczone. Jechałem krótkim, myśliwskim galopem jeszcze parę kilometrów, zanim lis upadł, rozciągnął się i nie mógł już powstać. Wstrzymałem konia i, uchwyciwszy lisa za kark, podniosłem go wgórę, otoczony psami. Teraz dopiero ujrzałem galopującego w niewielkiem oddaleniu dojeżdżacza, a za nim szereg jeźdźców. Gdy dojeżdżacz nadjechał, otrąbił „Halali", hasło na zbiórkę, a potem fanfarę zwycięstwa. Ponieważ

pierwszy byłem przy Halali, należała mi się w nagrodę kita lisa. Po przybyciu reszty towarzystwa dojeżdżacz odciął kitę i wręczył ją hr. X., *Master*'owi polowania, a ten przypiął mi ją do boku bluzy. Byłem bardzo dumny z tej odznaki, której zazdrościli mi wszyscy uczestnicy polowania. Dobry wynik należało przypisać głównie temu, że lis był młody, tegoroczny. Stary mykita nie byłby tak prędko uległ wyczerpaniu i kto wie, czyby nie dostał się do lasu.

Chociaż i w lesie psy gonią również dobrze, to jednak jeźdźcy w lasach na Podolu, położonych na stokach jarów, nie mogą towarzyszyć złai psów i całe polowanie musi być przerwane. Najczęściej wtedy lis zmyka do jamy. Jeżeli są pod ręką jamniki, to można go stamtąd dostać. Lecz z tem jest dużo zachodu i mitręgi, i nie każdy z uczestników miałby tyle cierpliwości, aby temu asystować.

Ze sforsowaniem zająca jest łatwiej, niż z lisem.

Przy tym gonie uwaga prowadzącego musi być głównie na to skierowaną, aby psy trzymały się jednego tropu, a nie przechodziły na tropy ruszonych w czasie gonu, nieraz kilku zajęcy. Nie jest to łatwą rzeczą w galopie, ze złają dwudziestukilku psów, dać sobie radę i nie pozwolić psom rozejść się za różnemi tropami, po drodze trafiającemi się w polu, lecz trzymać je zawsze razem na tropie tego zająca, za którym gon się rozpoczął. Zając, ruszony na terenie falistym, znika wkrótce z oczu.

Gdyby zając miał wtedy lisi rozum i nie czekał ukryty w dolinie na psy, to trudna byłaby sprawa sforsować go w krótkim czasie.

Zając jednak goniony, gdy tylko zajdzie za pagórek i zniknie z oczów, staje kominkiem i nasłuchuje grania psów. Gdy te się zbliżą, znów pędzi do najbliższego zaklęśnięcia w polu, by tam stanąć i czekać, aż psy się znowu zbliżą.

Jeżeli prowadzący *Hundsmann*, nie ma dostatecznej wprawy i pozwoli psom przechodzić na świeże tropy, lub, co gorsza, rozbić się złai na dwie, lub więcej partyj, to polowanie udać się nie może.

W tym wypadku konie, jeźdźcy i psy będą się trudzić daremnie, bo, jak mówi rosyjskie przysłowie: „Za dwumia zajcami pagoniszsia, ni adnawo nie pajmajesz".

*

W chmurny, deszczowy dzień przy końcu października towarzystwo, złożone z dwunastu jeźdźców, wyjechało na step, celem rozpoczęcia gonu za zającem. Na polach rozgrzęzło i konie zapadały po pęciny w mokrą ziemię.

Przejeżdżaliśmy w szeregu ściernisko, by ruszyć ukrytego szaraka z kotliny. Jakoż wkrótce pomknął tęgi zając z pod mego konia. Dojeżdżacz, gdy go ujrzał, skierował wnet złaję na trop i wkrótce pieski zagrały przyjemną dla ucha myśliwych melodję. Gon się rozpoczął. Galopowaliśmy dobre pół godziny, mając na oku psy, które szły równo, nie gubiąc tropu. Prócz wąskiego pasa łączki, pośrodku której znajdował się rów, innych przeszkód przed nami nie było. Przy braniu rowu na łączce, wskutek rozgrzęzłego terfu, dwa konie upadły z jeźdźcami. Jeźdźcy wyszli cało, lecz jeden z koni wypłeczył nogę. Wtyle za nami postępowała służba z luźnemi końmi do zmiany, w razie wypadku. Również jechał zaprząg, stosowny dla pomieszczenia jeźdźców, gdyby który z nich uległ jakiemuś wypadkowi i nie mógł jechać konno.

Po upadku dwóch koni na łączce nastąpiło małe zamieszanie między uczestnikami polowania. Gdy jednak jeźdźcy ujrzeli, że upadający z koni nie ulegli kalectwu, gon poszedł dalej. Tymczasem psy zmyliły trop i ruszyły za innym zającem, który dopiero teraz porwał się z kotliny. Zanim dojeżdżacz zdołał rozbiegłe psy naprowadzić na trop właściwy, upłynęło sporo czasu, w którym goniony szarak mógł swobodnie wypocząć.

Gdy psy znalazły się na właściwym tropie, gon znowu żwawo się rozpoczął. Jechaliśmy pochyłością, która łagodnie skłaniała się do stawu, wąskiego, lecz dość długiego. Byliśmy pewni, że zając przed stawem skręci wbok i znów pomknie polami. Szarak jednak sądził inaczej, bo, gdy dopadł brzegu, buchnął w wodę, pomiędzy szuwary i popłynął na przeciwną stronę. To nastąpiło przy końcu stawu, w szyi stawowej, nie szerszej, jak sto kroków. Psy dobiegły do brzegu, tu zgubiły trop, lecz czy to, że słyszały chlupot płynącego zająca, czy też spostrzegły go oczami, poszły również w wodę za swym przewodnikiem. Zając dobrym był pływakiem, bo wkrótce znalazł się na drugim brzegu, gdzie zakołkował i nasłuchiwał przez dobrą chwilę, czy psy idą za nim. Gdy je posłyszał płynące, znów pomknął w pole. Jeźdźcy stanęli nad brzegiem bezradni. Puszczać się wpław w grzązką szyję stawu nie było możliwe. Przy końcu stawu na prawo widać było młyn, a na lewo wpływały do stawu dwa strumienie o brzegach bagnistych, zarosłych szuwarem. W tę stronę nikt nie próbował jechać, by, minąwszy staw, przebyć strumyk i dostać się na suchy brzeg z drugiej strony.

Całe towarzystwo z *Mastrem* zwróciło się na prawo w kierunku młyna.

W ostatnim momencie przypomniałem sobie, że w górze są dwa brody przez strumienie, którędy przeganiają bydło na pastwisko. Zwróciłem konia w tamtą stronę, bo widziałem, że goniony zając zwrócił na lewo, w kierunku lasu. Grząskie brody udało się przebyć bez wypadku i niebawem dogoniłem psy, które, nie słysząc za sobą jeźdźców, zaczęły zwalniać i ociągać się z gonem. Gdy spostrzegły mnie jadącego, poszły chyżo i równo za tropem.

Jeźdźców od strony mostu nie było widać. W jakieś pół godziny gonu, zając padł martwy. Nie było komu przy Halali otrąbić zbiórki i zagrać fanfary triumfalnej. Musiałem sam zleźć z konia i podnieść martwego zająca, a potem z psami wracać do całego towarzystwa.

Przybywszy do młyna, zastałem tam jeźdźców po drugiej stronie stawu, most podolskiej konstrukcji nie był bowiem do przejazdu możliwy. Nie było tu żadnej publicznej drogi, tylko polna do młyna. Most na śluzie miał pomost, ułożony z chróstu, pokrytego gliną. Wskutek słot glina rozmokła i spłynęła z deszczem, a został przegniły chróst, po którym człowiek ledwo mógłby się przedostać na drugą stronę. Koni nawet przeprowadzić nie było można. Poniżej stawu, za strumieniem o bagnistych brzegach, o parę kilometrów, był dobry most i tamtędy można było przejechać. Nikt jednak z towarzystwa nie chciał w deszcz ulewny, który już od paru godzin padał, gonić tak daleko koniem bez potrzeby. Tylko dojeżdżacz popędził do mostu, by odnaleźć psy, gdyż te, odcięte stawem od tropów myśliwskich koni, nie wiedziały, którędy wracać. O mojem przedostaniu się na drugi brzeg i sforsowaniu zająca nikt nie wiedział. Toteż zdumieli się uczestnicy polowania, gdy ujrzeli mnie, powracającego z psami i sforsowanym zającem.

Jadąc w kierunku mostu po drugim brzegu, ujrzałem pędzącego dojeżdżacza, który był wielce zaniepokojony o psy i bał się, by te się nie pogubiły. Kiedyśmy się zjechali i kiedy ujrzał, że nietylko psy są ze mną, lecz i goniony zając wisi przy mojem siodle, nie posiadał się z radości i winszował mi powodzenia w polowaniu.

Ująwszy trąbę, otrąbił Halali, a odciąwszy omyk, dał zająca na pożarcie zgłodniałej zgrai piesków.

Wkrótce złączyliśmy się z resztą towarzystwa. Gospodarz polowania przypiął mi do bluzy omyk zajęczy, jako oznakę, że byłem pierwszym przy Halali.

Przemoknięci do suchej nitki, lecz weseli i zadowoletni, wracaliśmy po błocie do domu.

LEON STARKIEWICZ.

NA RYKOWISKU.

Będąc we wrześniu 1933 r. w Wiedniu, na uroczystościach obchodu 250-tej rocznicy bitwy pod Wiedniem, spotkałem w tym pięknym naddunajskim grodzie dwóch moich kolegów jeszcze z Theresianum. Byli to młodzi baronowie d'Ahsbahs, Węgrzy. Po wypiciu kilku butelek Palugaya rozmowa zeszła na tematy myśliwskie. I wreszcie padły słowa, dla mnie brzemienne w błogosławione skutki. Zostałem zaproszony na jelenie do majątku Fayzat. Minęło kilka jeszcze dni, spędzonych w Wiedniu i wnet pociąg Wiedeń — Budapeszt unosił mnie ku przepięknym Węgrom, które znałem jeszcze z czasów, gdy, jako paź, jechałem na koronację cesarza Karola do Budapesztu. Nęciła mnie zawsze bezkresna puszta węgierska. Niestety wtedy w 1918 r. nie było mi danem poznać jej, widziałem ją tylko z okien wagonu. Teraz miałem ją poznać dokładnie.

W Budapeszcie zatrzymaliśmy się tylko jeden dzień dla wyrobienia pozwolenia na broń dla mnie, jako obcokrajowca, wypożyczenia sztucera i kupna nabojów. 27 września o świcie stanęliśmy na małej stacyjce Gyöngyostarjan, a stąd wspaniałemi końmi, wprost świetną drogą do Fayzat mieliśmy już tylko 5 kilometrów.

Zaraz na wstępie w hollu przywitały nas ściany, obwieszone przepięknemi trofeami ojca moich kolegów oraz Geralda i Wilhelma. Zwróciły moją uwagę olbrzymie wieńce dwudziestaka i fantastycznych wprost rozmiarów skóra niedźwiedzia. Na moje zapytanie dowiedziałem się, że wszystkie te trofea, które tu wiszą, zostały zdobyte w Fayzat. A były tam i odyńce i rysie, obok rozlicznych wieńców jeleni i poroży rogaczy. A więc naprawdę są szanse zdobycia takich trofeów, tak bardzo dla mnie upragnionych, tembardziej, że nigdy nie zabiłem jelenia, a nawet nie polowałem na to królewskie zwierzę. Miało to być moje pierwsze rykowisko.

Zaraz po przyjeździe starszy baron Gerald kazał sobie zawołać nadleśniczego. Szczęściem dla mnie stary ten nadleśny znał język niemiecki, mogłem więc słuchać jego raportu. Gabo Bagolyi twierdził, że jelenie już dobrze ryczą, że jest ich sporo, rogaczy wszędzie pełno. Przedstawił też plan tygodniowego pobytu w lesie. Ponieważ Wilhelm musiał zaraz nazajutrz wracać do Budapesztu, więc tylko obaj z Geraldem mieliśmy spędzić tydzień w pięknej, górskiej puszczy węgierskiej. Postanowiliśmy dziś jeszcze odpocząć, zaraz jutro rano wyruszyć do lasu.

Po dłuższej drzemce i sutym obiedzie, po południu konno wyjechaliśmy obejrzeć folwark. Piękne, rosłe, trochę ciężkawe Noniusy raźno parskały. Bezkresna przestrzeń pastwisk, na których pasły się stada owiec, koni i olbrzymiego białego bydła, gdzieniegdzie wysokie żórawie studni przypominały mi obrazy tak często widziane w kinach. Nareszcie moje marzenia zostały spełnione; byłem w puszcie. Właściwie mylnie komentujemy ten wyraz, na Węgrzech puszta to pole, podczas gdy my pusztą nazywamy właśnie te olbrzymie pastwiska. Stada pilnowane były przez pastuchów-czabanów, którzy, choć słońce dobrze przypiekało, stali oparci na wysokich laskach, w kożuchach, futrem na wierzch odwróconych. Już dobrze zmierzchało, gdyśmy wrócili do domu. Wcześnie położyliśmy się spać, gdyż skoro świt na drugi dzień mieliśmy wyruszyć na łowy.

Jeszcze ciemno na dworze było, gdy obudzono mnie, nagląc do wyjazdu. Rzeczy, a więc sztucery i pościel oraz wiktuały wywieziono już poprzedniego dnia do szałasów. Po krótkiem śniadaniu wyruszyliśmy konno na tydzień wędrówki, rozkosznych poszukiwań za jeleniami.

Plan polowania był następujący. Ja dostałem rewir dostępniejszy, do obsługi jednego Węgra, który miał zajmować się koniem moim i swoim, oraz pilnować szałasu, i gajowego, który umiał jako tako po niemiecku. Wybór padł na starego, może już sześćdziesięciokilkuletniego Johana. Gerald ze swoją służbą pojechał na bardziej niedostępne tereny, po pięciu dniach miał przyjechać do mnie, by zapolować już wspólnie na niedźwiedzia i rogacza.

Jeszcze tego samego dnia o trzeciej po południu byłem na połoninie. Johan mimo swego wieku imponował mi swym chodem, nieraz daleko w tyle zostawałem, podczas gdy stary rzeźkim krokiem szedł niezmęczony naprzód. Gdyśmy tak szli, około czwartej usłyszałem po raz pierwszy w życiu ryk jelenia. Już chciałem biedz do niego, gdy Johan machnął lekceważąco ręką, twierdząc, że za słaby do strzału. Tego dnia więcej nic nie słyszałem. Widziałem tylko kilka rogaczy, a pośród nich jednego wspaniałego. Choć miałem pozwolenie odstrzelić cztery sztuki, nie chciałem strzałem straszyć jeleni, na które przez następne dni miałem czatować.

Drugiego dnia o wpół do trzeciej rano znowu byłem w lesie. O jakieś pół kilometra od szałasu ryczał jeleń. Zapytałem się Johana, czy tego warto podchodzić. Odpowiedział, że dla mnie on dobry, bom nigdy jeszcze jelenia nie zabił. Zaczął się podchód. Ponieważ pierwszy raz podchodziłem byka, zastosowałem się ściśle do wskazówek przewodnika, a raczej naśladowałem każdy jego krok czy ruch. Już może sto kroków dzieliło nas od jelenia, gdy wtem na niewielką polanę wyszło cztery łanie. Przywarłem do drzewa, drżałem wprost cały, oczekując lada chwila byka, który powinien wyjść za łaniami. Wtem na polanę wyskoczył jeleń, w pełnym biegu. Już się zmierzyłem i chciałem strzelić, gdy Johan dał mi znak, bym nie strzelał. Gdym spojrzał na rogi, zrozumiałem. Był to słaby dziesiątak, ale wydał mi się tak potężnym, że wprost wytrzymać nie mogłem. Jeleń stał przy końcu polany, poczem wolno już wszedł w gęste krzaki i stamtąd ryczał dobre pół godziny. Łanie tymczasem pasły się spokojnie, wolno ciągnąc za panem leśnego haremu.

Gdyśmy tak stali, zapatrzeni w ten cudny, nigdy niezapomniany widok, usłyszeliśmy naraz ryk czterech byków. Jeden z nich ryczał grubo i kończył jakby stęknięciem. Johan skinął głową w kierunku tego byka. Stary teraz zmienił się, widać było, że jeleń wart zachodu. Z oczu Johana błysnęły jakieś blaski, sam skurczył się, stał się małym, jakby chciał pod ziemię się schować. Wiedziałem, że będę miał do czynienia z naprawdę wspaniałym bykiem. Szybko zbiegliśmy na dół i zaraz znów do góry, a potem już ostrożnie podsuwaliśmy się do byka. Jeleń zbliżał się do nas, rycząc ciągle. Ponieważ staliśmy prawie na otwartej przestrzeni, padliśmy na ziemię, by nie być widzianymi przez byka. Byk niestety jakby przeczuwał, ciągle stał w jednem miejscu i ryczał. Czekaliśmy tak może ze dwie godziny, lecz byka nie widzieliśmy.

Słońce już dobrze grzało, więc, wycofawszy się cicho, wróciłem do szałasu. Spałem dość długo, dopiero Johan obudził mnie. Spojrzałem na zegarek: wpół do trzeciej. Szybko szliśmy na to miejsce, gdzie rano słyszeliśmy byka. Niestety nie ryczał już tego dnia. Zato dalej znowu dwa byki wyzywały siebie bez przerwy.

Trzeciego dnia jeszcze ciemno było, gdym już stał tu, gdzie wczoraj słyszałem byka. Lecz do dziesiątej cisza panowała zupełna. Już zniechęcony chciałem wracać do szałasu, gdy wtem nie dalej, jak może na dwieście kroków, krótki, wyzywający ryk rozdarł powietrze. Johan radził zbliżać się do byka, a nie czekać na niego. Sto kroków przejść jak najostrożniej, z emocją szaloną, to niebylejaki trud, ale, opanowaw-

szy się, dokonałem tego.. Byk znowu się odezwał. Jeszcze chwila, a zobaczę go. Już widzę, gdzie gałęzie się chwieją i wnet wychodzi wspaniały, królewski zwierz. Zmierzyłem się, spojrzałem przez lunetę, widzę, kapitalny dziesiątak, bardzo grube rogi, białe przy końcach. Patrzę na Johana i ten mi daje znak, bym strzelał. A więc teraz, albo... może nigdy. Pierwszy strzał do jelenia i byk wywraca się, ale wnet wstaje — posyłam mu drugą kulę — idzie w gęsty las.

Jak wryty, stanąłem, czyżbym z emocji tak fatalnie strzelił. Może ta jedyna okazja zdobycia wieńca poszła namarne, ale Johan kochany pociesza mnie, twierdząc, że byk otrzymał obydwie kule i że zaraz go znajdziemy. Po półgodzinnem czekaniu „aż dojdzie", udajemy się na miejsce strzału — gorączkowe poszukiwania i o jakieś 50 kroków dalej, w krzakach widzę jego róg. A więc jest, jest, leży pierwszy mój jeleń. Podbiegam, wspaniały dziesiątak, wysokość 118 cm, rozpiętość rogów 89 cm. Wracamy uradowani do szałasu. I tu, o dziwo, zastaję Geralda, któremu się nie wiedzie i przyszedł mnie odwiedzić. Opowiadam mu o mojej przygodzie, podczas, gdy nasi ludzie poszli oprawiać byka. Radości mojej niema granic, cieszę się, jak dziecko, ale czyż trzeba się temu dziwić, czy tylko ja takie chwile przeżywałem?...

Po południu znowu idziemy do lasu. Gerald poluje razem ze mną w tym samym rewirze, gdyż w jego rewirze ani jeden byk nie ryczy. Ja nic nie widzę przez cały wieczór, słyszę tylko zato znowu trzy byki ryczące. Już prawie ciemno, gdy usłyszałem daleki strzał, bardzo bliski szałasu. Po powrocie zastaję Geralda strasznie zmartwionego, postrzelił dobrego jelenia, ale z powodu zmierzchu nie znalazł go. Jutro ma go szukać, a jeśli nie znajdzie, posyła po psa do Fayzat.

Czwarty dzień nic mi nie przyniósł, Gerald swego byka nie znalazł, więc jutro przyjdzie pies, który i tak nam będzie potrzebny na niedźwiedzia.

Piąty i ostatni dzień polowania na jelenie, to dzień dla mnie niezapomniany. Ciemno, jak zwykle, gdy wyruszamy z szałasu. Pierwszy w tym roku przymrozek. Jelenie ryczą bez przerwy, po głosie słyszę 5 sztuk, ale Johan twierdzi, że żaden do strzału. Siedzę sobie na pieńku, naokoło piękny las bukowy, wtem przedemną jakiś szelest i, o dziwo, widzę łeb niedźwiedzia, patrzy chwilę na mnie i, mruknąwszy cicho, wolno odchodzi. Nie strzeliłem do misia, bo na niego mamy razem z Geraldem polować. Dziś stanowczo twierdzę, iż była to najbardziej bohaterska chwila mego krótkiego, myśliwskiego życia. Nie strzeliłem do niedźwiedzia, mając bardzo łatwy strzał. A może była to jedyna w mem życiu okazja zdobycia tego potężnego zwierza. Wracając do szałasu, słyszę ryk jelenia, ale podchodząc spłoszyłem go, przez mgnienie oka ujrzałem bardzo dobry wieniec, ale o strzale mowy być nie mogło. W szałasie zastałem już Geralda, bardzo żałował, że nie strzeliłem do niedźwiedzia, byłem dumny z siebie, gdy on dziwił się memu opanowaniu i powiedział mi wtedy: „Ich wusste, dass in Polen gute Jäger sind, aber nie glaubte ich, dass man solche treffen kann".

Po południu szukaliśmy razem z Geraldem jego jelenia, świetny tropowiec po dwugodzinnem poszukiwaniu znalazł go o jakieś dwieście kroków od miejsca strzału, ale tak schowanego w młodym zagajniku, że bez psa nigdybyśmy go byli nie znaleźli. Jest to dobry czternastak, wysokość wieńca 123 cm, rozpiętość 98 cm.

Szósty dzień, przeznaczony na łowy niedźwiedzie, nic nie dał, ani nawet nikt z myśliwych, czy naganki niedźwiedzia nie widział.

Siódmy i ostatni dzień, spędziliśmy na podchodach rogaczy. Padło ich 7, w tem jeden ósmak. Gerald położył pięć, strzelał do 8-miu, ja strzelałem do trzech, zabiłem dwa. Obydwa były to bardzo silne kozły. Wogóle zauważyłem, że prawie wszystkie rogacze były dobre, a przytem ta ilość...

Tak oto spędziłem tydzień mego pobytu na Węgrzech, gdzie nietylko przeżyłem niezapomniane chwile, ale też stałem się naprawdę myśliwym, zdobywając wieniec jelenia i nie strzelając do niedźwiedzia, choć był na wygodny strzał.

Gerald, wiedząc, iż mój jeleń jest pierwszym przezemnie zastrzelonym, z wrodzoną Węgrom gościnnością, pozwolił mi wieniec mego byka zabrać ze sobą, mimo, iż zwykle rogi, zdobyte w jego lasach, zdobią holl pałacu w Fayzat.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

JAK DALEKO WIDZI PIES?

Jest to pytanie równie ważne, jak mało zgłębione. W odniesieniu do wyżłów posiadamy jedynie nieliczne obserwacje i to o bardzo znacznej rozpiętości w ocenie wzroku wyżła. Tak np. literatura wymienia krótkowłosą niemkę (Werra v. Schellenthurm), która ze 100% pewnością oceniała wzrokowo, czy zając lub królik był trafiony, czy chybiony. Za pierwszym bez rozkazu szła i zawsze go przynosiła, na drugiego nie zwracała uwagi, siedząc spokojnie u nóg swego pana, na stanowisku. Przeciwnie, znane są też wypadki, że wyżeł, przywołany gwizdkiem, na krótką metę, przybiega i staje, szukając pana wzrokiem. W ocenie wzroku psa, zdaje mi się, za mało bierzemy, lub wcale nie bierzemy pod uwagę, iż pies przyjmuje wrażenia świetlne z wysokości swoich 70 cm. nad terenem, a więc nachylenia terenowe, nie przeszkadzające nam w orjentacji wzrokowej, są nieraz poważną przeszkodą dla psa. Tego naogół nie uwzględniamy i stąd przypuszczalnie pochodzi nasza ujemna opinja o sile psiego wzroku. Osobiście jestem skłonny wierzyć w większą siłę wzroku u psa, niż u człowieka, opierając się na niezwykle silnej spostrzegawczości psa w kierunku nadziemnym (a więc bez przeszkód terenowych) oraz w porze nocnej. Nie znam wypadku rozbicia się psa o drzewo w ciemności, gdy tymczasem my, ludzie...

Co się tyczy prób psiego wzroku, to znane mi są tylko jedne, przeprowadzone w Monachjum z 12 psami policyjnemi. Powtarzano je 34 razy w różnych porach roku i dnia, i przy różnej pogodzie.

Okazało się, że rekord osiągnął pies, który widział przedmiot nieruchomy na 585 m., ruchomy zaś na 645 m.

Ciekawszą była próba, na jaką odległość pies pozna je swego pana: a) nieruchomego i b) poruszającego się.

a) Pięciu menerów ustawiono we wzajemnej odległości 3—5 m., przyczem zmieniali oni co pewien czas swe stanowiska. Wszyscy byli z odkrytą głową, odziani jednakowo w białe koszule i ciemne spodnie. Próba odbywała się z 5 psami z odległości 100 m. Psy podprowadzono na metę z zawiązanemi oczami. Na gwizdek (znany wszystkim psom) zdjęto opaski, i psy pobiegły do panów. Przy następnej próbie, ze zmianą miejsc, pies „Wilibald" szedł 70 m. na pamięć, poczem zauważył pomyłkę i zmienił kierunek, odnajdując pana na oko. „Wolbert" poprawił się na 50 mtr., „Tago" dopiero na 90 m. Przy dalszych próbach na zwiększonym dystansie przekonano się, że żaden pies nie poznawał swego pana na 150 m. Najwyższy dystans poznania wynosił 115 m., najniższy 10 m.

b) Objekt ruchomy, własnego pana w ruchu na otwartej przestrzeni, poznawały psy w odległości max. 150 m. min. 10 m.

Dokładny opis przebiegu prób zamieszcza prof. Schmid z Monachjum w czasopiśmie Wild und Hund

WŁ. KARNKOWSKI.

ODEZWA KOMISJI PROPAGANDOWEJ POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

DO PANÓW DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Podstawą wszystkich poczynań Komisji Propagandowej, dążącej do takiego postawienia sprawy wydawnictwa „Łowca Polskiego", ażeby doprowadzić je do powszechnego spopularyzowania pomiędzy myśliwymi polskimi zapomocą możliwie najniższej ceny prenumeraty, jest w pierwszej linji stworzenie dokładnej i przejrzystej kartoteki polskich myśliwych.

W tym celu, zgodnie z uchwałą Zarządu P. Z. S. Ł. z dn. 5 b. m., zwracamy się do wszystkich Panów Delegatów powiatowych o dostarczenie nam, o ile możności w najbliższym czasie, listy myśliwych swego powiatu i zaopatrzenie jej ewentualnemi własnemi uwagami, dotyczącemi poszczególnych osób.

Listę taką bez trudności osiągnąć mogą Panowie Delegaci od urzędów starościńskich, gdzie prowadzona jest ewidencja osób, otrzymujących pozwolenia na utrzymywanie broni myśliwskiej oraz karty łowieckie.

Lista, o jaką nam chodzi, musi obejmować nazwisko i imię myśliwego, jego miejsce zamieszkania i pocztę (adres), zawód i ewentualne uwagi

Pozatem, że kartoteka tego rodzaju w rękach Komisji Propagandowej P. Z. S. Ł. odegra ważną rolę w stosunku do zamierzonych prac Komisji na najbliższą przyszłość, stanowić ona będzie również pożądany materjał statystyczny dla segregacji myśliwych pod względem dalszego rozwoju możliwości organizacyjnych.

Z uwagi na niezmierną ważkość pomyślnego przeprowadzenia w krótkim czasie powyższego zadania, zwracamy się do Panów Delegatów z jak najgorętszym apelem o niezlekceważenie tej sprawy i o dołożenie z Ich strony rzetelnych chęci i starań dla dopomożenia naszej akcji.

W razie, gdyby Panowie Delegaci napotkali w tej mierze na jakiekolwiek trudności, uniemożliwiające Im wywiązanie się z tego zadania, prosimy o łaskawe odwrotne zakomunikowanie nam o tem.

Komisja Propagandowa
Polskiego Związku Stowarzyszeń
Łowieckich.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU SARNY.

Obszar powiatu wynosi 5.404 km². o terenie wybitnie płaskim i słabej przeważnie glebie; dużo lasów, bagien i łąk.

Warunki odpowiednie dla grubszej zwierzyny, drobna znajduje się w większej liczbie tylko tam, gdzie jest podkarmiana. W powiecie istnieją dwa Towarzystwa łowieckie, jedno w Sarnach, drugie (Koło łowieckie) w Dąbrowicy.

Kart łowieckich wydano w 1933 roku 120, terenów zarejestrowanych jest 88, z czego 67 własnych i 21 wspólnych.

Kłusownictwo, dzięki działalności władz administracyjnych, znacznie się zmniejszyło.

Stan zwierzyny jest następujący:

1) Łoś — spotykany w ilości 5 sztuk (Lado — Rokitno) oraz widziano przechodzące 3 sztuki przez teren gminy włodzimierzeckiej w kierunku Dąbrowicy. Przed wojną była znaczna ilość łosi w powiecie, warunki dla hodowli korzystne.

2) Ryś — tylko w północnej części powiatu w ilości, 6 — 8 sztuk.

3) Wilk — pospolity w całym powiecie.

4) Dzików jest coraz więcej, co w kresowych stosunkach jest oczywistym dowodem zmniejszania się kłusownictwa.

5) Sarna znajduje się we wszystkich prawie rewirach leśnych, w małych jednak ilościach, poprawa postępuje bardzo powoli, poroża kozłów słabe, dużo wsteczniaków. Dotkliwy ubytek przyczyniają wilki i kłusownictwo.

6) Głuszce — dzięki likwidacji służebności i tępieniu wałęsających się psów, znajdują możność rozwoju i stan tych pięknych ptaków polepsza się widocznie.

7) Cietrzewi jest mniej, niż lat ubiegłych, za krótki czas ochrony oraz rozpowszechnienie się broni małokalibrowej wpływa na wyraźne zmniejszanie się stad.

8) Jarząbków jest mało i mimo ochrony oraz małego odstrzału nie widać poprawy.

9) Zające spotyka się wszędzie na suchszych terenach, warunki słabej gleby nie sprzyjają rozmnażaniu się, bagna zaś powodują chorobę motylicy. Nie znaczy to jednak, aby przy podkarmianiu nie można było osiągnąć pięknych rezultatów i to w szybkim czasie.

10) Kuropatw mało, choć widać emigrację tego ptaka z południa (Wołynia). Stan kuropatw reguluje zima i opady śnieżne, bez sztucznego ochraniania i podkarmiania rezultatów nie można oczekiwać.

11) Kaczki i ptactwo błotne jest regulowane opieką przyrody. Ilości tej zwierzyny powinny być znacznie większe, plagą są wczesne pokosy traw i wybieranie jaj.

Reasumując stan zwierzyny w powiecie, trzeba zdać sobie sprawę, iż stan ten daleko odbiega od najniższej normy. Wszelkie opowiadania o obfitości zwierzyny na Kresach są przesadną bajką, obliczoną na naiwnych, nie znających miejscowych stosunków, albo też brakiem możności porównania z Zachodem, gdzie ochrona i hodowla stoi na wysokości zadania.

TADEUSZ SZOL,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Sarny.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na czwarty kwartał b. r., lub na miesiąc listopad. Jednocześnie prosimy o propagowanie idei, którym służy nasze pismo i o zjednywanie mu coraz dalszych kół zwolenników.

Administracja.

MYSZOŁÓW ZŁAPANY RĘKAMI.

Będąc z końcem września u mego przyjaciela K. W. w Perepelnikach koło Złoczowa, wybraliśmy się z nim pewnego wieczoru na zasiadkę. Siedząc razem na wysokiej ambonie, niebardzo wygodnie, z powykręcanemi i odrętwiałemi nogami, a nie mogąc rozmawiać, zamyśleni obserwowaliśmy parę stad sarn, które w miarę zapadania zmroku zbliżały się ku nam.

Duże, czerwone słońce tonęło za horyzontem w rozpalonem niebie, które ostatnim blaskiem złociło żółty, jesienny las. W lesie było cicho, tylko od czasu do czasu suche liście spadając przerywały spokój. Raptem silny łopot w świerczynie, za nami, przerwał nasze dumanie. Pomału i ostrożnie odwracamy się w tym kierunku i widzimy o parę metrów przed nami dużego myszołowa, siedzącego na gałęzi świerka, gładzącego i czyszczącego swe pióra. Zmęczony całodziennemi łowami na myszy, wolno zbliżał się do pnia drzewa, gotując się do snu. Widząc go tak blisko, przez chwilę, aby go nie spłoszyć, siedzieliśmy nieruchomo. Wpatrzeni w niego czekaliśmy zupełnego zmroku.

Mieliśmy przy sobie dużą latarnię „Dajmon", którą zaczęliśmy oświetlać myszołowa, przytulonego do pnia i już twardo śpiącego, ze schronioną pod skrzydła głową. Po chwili zbudzony światłem ptak wyciągnął głowę i zaświecił w nas oczyma, jakby dwoma lusterkami. Ze światła latarni nie robił sobie wiele, a silnie mrużąc oczyma, zdawało się, że prosi nas tylko o nieprzerywanie mu spoczynku.

Z powodu takiej jego ospałości, błysnęła nam myśl schwytania go. Wysokość, na której siedział, stawiała nam poważną przeszkodę. Ale i na to znalazła się rada. Mój towarzysz stale go oświetlał, a ja cicho odczepiłem wysoką drabinę od ambony i ostrożnie, lekko przystawiłem do drzewa, na którem siedział „Buteo". Pomału zacząłem wspinać się po drabinie. Gdy stanąłem na pierwszy stopień, drzewo zakołysało się, a myszołów, siedzący dotąd spokojnie, zaczął zdradzać niepokój, był jednak tak dobrze oślepiony ciągłem świeceniem i gaszeniem naprzemian latarni, że zupełnie zgłupiał.

Właziłem cicho coraz wyżej, aż znalazłem się na jednej wysokości oko w oko z nim. Stałem cicho, wpatrzony w jego duże oczy, w których źrenice rosły i malały od silnych promieni latarni. Groźnym wzrokiem wpatrzony w jeden punkt, z wyciągniętą głową, jakiś niespokojny, a jednak pełen powagi, siedział majestatycznie, jakby czegoś szukał i coś myślał. Z wrażenia, wobec tak niecodziennego polowania, serce biło mi tak głośno, i to gdzieś w gardle, że nawet myszołów je słyszał, a może tylko instynktownie przeczuwał coś złego. Wkońcu odwrócił głowę od światła, by spłynąć spokojnie w czarną przestrzeń cichej nocy. Nim jednak to uczynił, trzymałem go już w rękach.

Uradowany tem niezwykłem polowaniem, omal nie spadłem z radości z drabiny. Początkowo ptak wyrywał się, kurcząc i prężąc szpony, ale po chwili, czując się pewnie w rękach miłośnika myszołowów, dojechał spokojnie do domu, skąd nazajutrz zaobrączkowany odleciał w dalszą podróż, która napewno drugiej takiej przygody prędko mu nie zgotuje.

W. PUCHALSKI.

DOKUMENT Z PRZED 200 LAT.

Wśród dokumentów archiwum Sołtyków, znajdującem się w mojem posiadaniu, natrafiłem na krótką notatkę, którą pozwalam sobie przesłać, spodziewając się, że może zainteresuje ona czytelników „Łowca Polskiego".

Jest to umowa Macieja hr. Sołtyka, wojewody Sandomierskiego, właściciela Kurozwęk, z 1760 r., z poddanym jego Jakubem Rokicińskim o dostarczanie zwierzyny do zamkowe kuchni. Treść jest następująca:

„Rokociński ma więc obowiązek sieci naprawiać, do lasu z psami i sieciami jeździć kiedy dwór każe; psy uczyć do legawstwa i one na potrzebę dworską konserwować. Jestrzębia i krogulca z dworu danego wychowywać. Ptaków drobnych rożenkowych sto oddawać i innej także dziczyzny, aby się starał swym przemysłem oddawać do kuchni na każdy rok, jak to: Sarn trzy; Dzików prośniaków trzy; Cietrzewi cztery; Gęsi dzikich trzy; Dropiów trzy; Kaczorów lub kaczek dwanaście; Cyranek dwadzieścia; Jarząbków dziesięć; Kuropatw par dwadzieścia; Przepiórek par pięćdziesiąt; Jemiołuchów par piętnaście; Bekasów par sześć; Grzywaczów par sześć; prócz tego by i do innych usług się nie lenił, tak w lecie jak w zimie bez żadnej wymowy. Za to otrzyma grunt na Zagrodach i rocznie prochu ruszniczego funtów trzy, śrutu sarniego, kaczego i ptasiego po funtów cztery. Na każdą sztukę, aby dokument odbierał. Przytem uwalniam go od powinności jakie odbywają gromady".

Ciekawe, że w owym czasie trafiały się w województwie kieleckiem dropie oraz jarząbki. Ostatnie są tu obecnie niezmiernie rzadkie.

Kurozwęki, d. 28.X.34.

PAWEŁ POPIEL.

Z OBCYCH WYDAWNICTW.

Georges Oudard: Chasses féodales d'aujourd'hui. U. R. S. S. Pologne, Roumanie. Librairie Plon, Paryż, str. 248, 8 i 11.

Książka ta zawiera opisy polowań z ostatnich czasów na terenach łowieckich Rosji sowieckiej, Polski i Rumunji. Najobszerniejsza jej część, bo aż stron 110, poświęcona jest polowaniom w Polsce. Autor, dla którego ta część Europy i jej możliwości łowieckie, do chwili przybycia tam stanowiły coś zupełnie nieznanego, traktując je coprawda trochę jak coś egzotycznego, stara się z dużą dozą entuzjazmu, w sposób nader sympatyczny i prosty, przedstawić wszelkie rozkosze łowieckie, jakich doznał i zapoznać czytelnika z panującemi tam stosunkami łowieckiemi. W pierwszym rzędzie odnosi się to do Polski, którą miał sposobność poznać łowiecko wszechstronniej, gdy natomiast opisuje tylko jedno polowanie w Rosji sowieckiej na łosie i niedźwiedzie, zaś najmniej miejsca poświęcając Rumunji, dokąd przybył w czasie nieodpowiednim do łowów i miał sposobność brać udział tylko w jednem polowaniu na lisy w Dobrudży.

Mile uderza czytelnika to, że autor, odmiennie od wielu innych kolegów po piórze i strzelbie, nie chwali się swojemi wyczynami łowieckiemi, a nawet otwarcie przyznaje się do niepowodzeń.

Razi w tej książce tylko, zresztą u Francuzów często spotykana, obojętność na ortografję nazwisk spotykanych osób i odwiedzanych miejscowości i to do tego stopnia, że, cytując kilkakrotnie nazwisko Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, stale je błędnie podaje.

S. MRAVINCSICS.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Grupie myśliwych w Wągrowcu (Poznańskie)

1. Najzupełniej słusznem jest zapatrywanie, że zaciąganie fladr na zwierzynę jest początkiem polowania.

Ponieważ zaciąganie fladr na zające ma miejsce nocą, a prawo łowieckie zakazuje uprawiania polowania od zachodu do wschodu słońca (z wyjątkiem ściśle określonych gatunków zwierzyny), przeto zakładanie fladr na zające należy uważać za niedozwolone przez prawo łowieckie.

2. Prawo łowieckie zezwala na polowanie w porze od zachodu do wschodu słońca na następującą zwierzynę: słonki w czasie ciągu, głuszce i cietrzewie w czasie toku, łosie i jelenie na rykowisku, kaczki na zlotach (sadach) i przelotach, dziki, wilki, lisy i wydry na czatach (art. 47).

Z powyższego wynika, że nie wolno jest polować na króliki po zachodzie słońca, jakkolwiek na króliki wolno polować przez cały rok, jako na szkodniki, które nie podlegają żadnej ochronie.

WŁ. Z.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dnia 27 października r. b. odbyło się polowanie w maj. Starozwęki (pow. stopnicki) wł. p. Pawła Popiela, w 8 strzelb w dziesięciu pędzeniach leśnych i trzech kotłach, zabito 379 zajęcy, 1 lisa i 32 kuropatwy.

CZASY OCHRONNE NA 1934 R.

dla zwierzyny łownej, obowiązujące na obszarze Rzeczypospolitej, z wyjątkiem woj. śląskiego.

RODZAJ ZWIERZYNY:	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listop.	Grudzień	UWAGI
Łosie-byki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	Polowanie zabr. do 31.XII 35 r.
Łosie-samice i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Jelenie-byki, daniele-rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■	
Jelenie i daniele samice i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Sarny-kozły w woj. pozn. i pomors.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
„ „ w woj. krak. lwow. stan. i tarn.		■	■	■	■								termin obow. do 31.XII 1936 r.
„ „ pozostałe województwa		■	■	■	|||15								„
Sarny kozy i koźlęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Dziki			■	■	■	■							termin ten obow. do 31.XII 1935
Niedźwiedzie	15|||	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||15	termin ten obow. do 15.XII 1934
Niedźwiedzice z małcmi	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Rysie	15|||	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||15	termin ten obow. do 15.XII 1934
Żbiki		■	■	■	■	■	■	■	■				termin ten obow. do 1.XII 1935 r.
Kuny leśne (tumaki)		■	■	■	■	■	■	■	■	■			„ „
Norki		■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	„ „
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■	
Wiewiórki			■	■	■	■	■	■	■	■			
Zające-szaraki w woj. pomor. i poznań.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||15			termin ten obow. do 31.XII 1935
„ „ wileń., nowogr. i polesk.		■	■	■	■	■	■	■	■	■			„ „
„ „ pozostałe województwa		■	■	■	■	■	■	■	■	|||15			„ „
Zające-bielaki		15|||	■	■	■	■	■	■	■	■			
Głuszce-koguty	■	■	|||15		15|||	■	■	■	■	■	■	■	
Głuszce-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Cietrzewie-koguty						■	■	|||15					
Cietrzewie-kury w woj. wil. now. biał. pol. i wol.	■	■	■	■	■	■	■	|||15	15|||	■	■	■	
Cietrzewie-kury w pozostałych wojew.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Jarząbki i pardwy		■	■	■	■	■	■	|||15					
Bażanty-koguty		■	■	■	■	■	■	■	■	|||15			termin ten obow. do 31.XII 1935
Bażanty kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Kuropatwy w woj. wil. now. biał. pol. i wołyń.	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■	
Kuropatwy w pozostałych wojew.	■	■	■	■	■	■	■	■				■	
Przepiórki	od przylotu		■	■	■	■	■	■					
Dzikie indyki-samice					15|||	■	■	■	■	|||15			
Dzikie indyki-samce	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||15			
Słonki					15|||	■	■	|||15					
Bataljony						■	|||10						
Dzikie kaczory						■	|||5						termin ten obow. do 31.XII. 1935
Dzikie kaczki-samice i młode oraz inne ptactwo wodne i błotne	■	■	■	■	■	■	|||15						„ „
Czarne bociany	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15|||	■	■						
Dropie i dropie kamionki (strepety)	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	termin ten obow. do 31.XII. 1935
Dzikie gołębie, drozdy, kwicz., paszkoty		■	■	■	■	■	■	|||15					
Ptaki [illegible] i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	|||15					
Wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony													wolno polować przez cały rok
Lisy, orły													czasu ochronnego niema
Żubry, bobry, kozice, świstaki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	polowanie zabronione

Terminy ochronne rozumieć należy włącznie.

KŁUSOWNICTWO.

(—zel—) Dotychczas zdarzało się najczęściej, że wypadki napaści przez kłusowników na prześladujących ich strażników łowieckich, gajowych, leśników i t. p. miały miejsce bezpośrednio wobec przyłapania ich na gorącym uczynku i niemożności ujścia pochwyceniu, rzadziej z zasadzki i z premedytacją, jako akt zemsty dawnych pretensyj i porachunków.

Jak tu, tak i tam były to napaści osobników, których narzędziem przestępstwa, a zarazem narzędziem nałogu jest broń palna.

Tym razem mamy do zanotowania odosobniony narazie wypadek napaści na syna właściciela gruntu, który przebity został nożem przez sidlarza za spędzenie go z pola.

Miało to miejsce w powiecie kieleckim, we wsi Huta Oblęgorska. Przeniesiony do szpitala w Kielcach ranny Franciszek Siadała, lat 18, zeznał, że napaści dokonał nań Edward Jasa, mieszkaniec tejże wsi. Siadali zagraża utrata życia.

W ostatnich czasach rozmnożyło się ogromnie łapanie kuropatw na sidła, uprawiane nietylko zimą na śniegu, lecz właśnie podczas sezonu myśliwskiego, kiedy zbyt na to ptactwo jest łatwiejszy, a pochodzenie rzadko kontrolowane.

Należy wszcząć jak najenergiczniejszą walkę z dostawcami ptactwa na rynki miast, gdyż inaczej nasze zwierzostany kuropatwie, tak pięknie już kwitnące, zmaleją nagle poniżej słabego poziomu.

Jednocześnie zdarzać się będzie coraz więcej Jasów, którzy nie zawahają się w skrytobójczy sposób rozprawiać się z organami bezpieczeństwa, funkcjonarjuszami straży łowieckiej oraz właścicielami gruntu i objektu ich kłusowniczych wycieczek, tem trudniejszych do wykrycia, że uprawianych „na cicho", a w sposób coraz przemyślniejszy.

Tylko kontrola nad dostarczanem do handlu w miastach ptactwem i ściganie sprzedaży ptactwa duszonego może ukrócić to nowe niebezpieczeństwo.

*

(—zel—) W końcu ubiegłego miesiąca dokonano napadu w lesie na przodownika pol. państw. Pstrokońskiego, komendanta posterunku policji w Wielgomłynach, pow. radomskowskiego.

Pstrokoński, ugodzony przez nieznanego sprawcę postrzałem z dubeltówki, odnaleziony został przez przechodniów. Odwieziony do szpitala, przytomności nie odzyskał, wobec czego szczegóły zamachu są nieznane.

Nie ulega wątpliwości, że sprawcą jest ktoś z okolicznych kłusowników, których Pstrokoński bardzo energicznie prześladował.

*

(—zel—) Gazeta „Drwęca", wychodząca w Nowem Mieście, podaje, że trzej członkowie koła łowieckiego w Lidzbarku napotkali na terenach, dzierżawionych przez ich Koło, dwóch osobników z bronią w ręku, polujących na zające.

Wszczęła natychmiast interwencja ze strony faktycznych właścicieli polowania, wobec odmowy złożenia broni przez kłusowników, zamieniła się w pogoń za nimi, przyczem uciekających ostrzeliwano. W wyniku tej gonitwy udało się ostatecznie zmusić kłusowników do zatrzymania się i oddania broni — dwóch dubeltówek i wojskowego karabina.

Broń powędrowała na posterunek policji, a kłusowników wylegitymowano i zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

*

(—zel—) Pod Lesznem na Pomorzu, na obszarze łowieckim Wilkowo Leszczyńskie schwytano kłusownika, Jana Pinke z Wilkowic, który posiadał dubeltówkę i 20 nabojów śrutowych.

Dwa z ładunków były wystrzelone, co wystarczyło za dowód dla pociągnięcia go do odpowiedzialności za uprawianie kłusownictwa na cudzym terenie.

*

(—x.—). W lasach maj. Marszowo (powiat jarociński) dwaj gajowi natknęli się na kilku kłusowników, którzy nieśli łup w postaci znacznej ilości zabitego ptactwa.

Na widok gajowych, kłusownicy zaczęli uciekać, a ukrywszy się w krzakach, otworzyli ogień z fuzyj.

Gajowi odpowiedzieli również strzałami, przyczem ranny został poważnie jeden z kłusowników, Stefan Werbiński, przy którym znaleziono 15 upolowanych bezprawnie bażantów.

Policja natychmiast wszczęła dochodzenie w celu ujawnienia i aresztowania reszty kłusowników.

*

(—x.—). W dniu 8 października r. b. kłusownik Nowicki z Paprotni (gmina Brzeźno, pow. koniński), wracając z wyprawy, ukrył fuzję pod marynarką i przez nieostrożność spowodował wystrzał.

Śrut rozszarpał Nowickiemu brodę.

Kłusownictwo wydało się, a nadto Nowicki musiał udać się do szpitala, na dłuższą kurację.

*

(—x.—). Szymon Ostaszuk, gajowy lasów państwowych nadleśnictwa Skarżysko-Kamienna (pow. konecki), w czasie obchodu, spotkał w lesie znanego kłusownika Bolesława Półtoraka, którego usiłował zatrzymać.

Półtorak jednak stawił gajowemu opór i zamierzył się nań żelaznym drągiem.

Wówczas gajowy Ostaszuk wystrzelił z karabinu, raniąc Półtoraka w udo.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, L. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyńska, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, gen. St. Skrzyński, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedynczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; najmniejsze ogł. — 1 zł.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.